

razem

młodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y.M.C.A. we FRANCJI

ROK 2.

1-31 MARCA 1945

NR. 5-6 (13-14)

Zbliża się Święto Zmartwychwstania, które jeszcze i w tym roku nie przynosi nam tak oczekiwanego Odrodzenia Wolnej Ojczyzny i powrotu do domów rodzinnych.

W smutku i rozterce słuchać będziemy dzwonów, rezurekcyjnych, wieszczących już innym radosne „Alleluja”.

Dzień ten jednak, który co roku, zgodnie z odwieczną tradycją, świecimy jako symbol zwycięstwa nieśmiertelnego Ducha Miłości nad materią i złem — posiada dziś dla nas Polaków specjalnie krzepiającą wymowę. Krzyżowa droga, po której idzie w meczem Naród Polski, zabatrzoną w wielką ideę Wolności i triumfu sprawiedliwości nad przemocą, musi doprowadzić do

ZMARTWYCHWSTANIA

z pożogi wojennej

WOLNEJ I NIEPODLEGŁEJ OJCZYZNY

Z tą wiarą głęboką — Polska Y.M.C.A. składa wszystkim Polakom najgorętsze życzenia, aby to Zmartwychwstanie zastało nas godnych — w pokoju, zgodzie i miłości.

RYSZARD KIERSNOWSKI

Pozostała nam tylko...

Pozostała nam tylko, Boże,
Wiara, która góry przenosi,
Pozostały łzy rozsypane
Po ścieżkach dalekich, po rosie.

Pozostały nam słowa Twoje
O miłosierdziu bez granic,
Wiara żołnierzy idących
W śmierci obłądny taniec.

Pozostał nam pusty kielich
Wypitej do dna goryczy,
I wiara, że każdą kroplę
Krwi polskiej, Boże, policzysz.

Pozostał nam kamień grobowy,
Tułaczki długiej, wygnania,
I Wiara. Najgłębsza wiara
W jutrzejszy Gład Zmartwychwstania.

Wesołego...



...Alleluja



Cz 31892/1945/5-6

1604c 1976

W Świętą Alleluję

Wstał Pan Jezus z martwych
po trzydniowej męce,
chodzi po wsi naszej
z chorągiewką w ręce,
powiewa nią, wyśpiewuje
Swoją Alleluję.

Po podwórkach pieją
poranne koguty,
chodzi Jezus z kajdan
śmiertelnych rozkuty.
Chorągiewką wymachuje,
nucąc Alleluję.

Pod gazdowskie chaty
ochota Go wiedzie,
puka w drzwi zamknięte:
— Wstawajcie sąsiedzie!
Wstawać Czuje i Nieczuje,
nucić Alleluję! —

Szczęśliwy, kto pierwszy
zervie się dziś z łóżka,
owies mu wyrośnie
gesty jak poduszką.
Niechże każdy wyśpiewuje
Swoją Alleluję.

Puka do okienka
i dziewczynę budzi:
— Wstań, już czeka na cie

twój najpierwszy z ludzi! —
Dziewczę prawie się nie czuje
na tę Alleluję.

— Ty zaś, kobiecino,
śpij se, śpij spokojnie,
wróci twój synaczek
już po Wielkiej Wojnie,
wróci i zaintonuje
świętą Alleluję.

Nie spałaś w zapusty
ani w wielkim poście,
więc w Wielką Niedzielę
wyciągnij twe koście,
niechże ja ci wyśpiewuję
świętą Alleluję.

Nie słucha Go matka,
zrywa się na nogi:
może w tę niedzielę
wróci syn mój drogi?
Pan chorągwią przytakuje,
nucąc Alleluję.

Wstał Pan Jezus z martwych
po zimowej męce,
chodzi po wsi naszej
z chorągiewką w ręce,
powiewa nią, wyśpiewuje
świętą Alleluję.

Na Zmartwychwstanie

TOMASZOM NIEWIERNYM.

Przyjdźcie tu bliżej, bliżej Tomaszowie niewierni,
bo dla was ten dzień Zmartwychwstania! —
Ubroczcie palce w boku świętym Pana,
dotknijcie się ostrych na Głowie Świętej cierni!
I patrzcie, patrzcie, na Tego, co zbity,
zelżony, splwany, żółcią nakarmiony
tępymi gwoździami do krzyża przybity,
w grobie kamieniem wielkim przywalony, —
a dziś w dzień święty Zmartwychwstania
idzie wśród nas! — Żywy!

— — — — —
Tomaszowie niewierni! — padnąć na kolana

i twarzą ścierać pył!
i proście, módlcie, błagajcie Pana,
by w was się zbudził duch żarliwy,
by w was Duch Święty żył! —
bo wiary wam potrzeba!
A kiedy uwierzycie za łaską świętą z nieba,
Że do krzyża przybicie, że splwanie i zelżenie,
że głazem przywalenie, —
to nie jest Świętości zgon,
to wtedy się rozkołysze radosny wielki dzwon —
i z wiarą, co zmieniła w stal wasze dusze niemrawe,
pójdziemmy modlić się z mocą o świętą naszą Sprawę!

WIELKI TYDZIEŃ NA WSI

Smutne i majestatyczne obrzędy kościelne w Wielkim Tygodniu, odbywane po kościołach, nie przeszły bez wrażenia w duszy ludu polskiego. Oddźwiękiem o subtelnych niejednokrotnie drganiach stały się zwyczaje, związane z tygodniem, poprzedzającym radosną pamiątkę Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Wiele ze zwyczajów zaginęło w pamięci potomnych na zawsze; o zaginionych znajdujemy tylko wzmianki w pracach etnograficznych Oskara Kolberga, w «Pamiętniku» ks. Kitowicza (z czasów panowania Zygmunta III) i innych.

Niedziela Palmowa.

Po wsiach, kto tylko wstanie, ledwie świt, biegnie z różdżką wierzbową budzić innych. Gdzie kogo dopadną, czy w chacie, czy w stodole, «młóca» go wierzbinią, wołając:

Wierzba bije — nie ja biję,
Za tydzień — Wielki Dzień.
Za sześć noc — Wielka Noc.
Bądź zdrowy — jak lód,
Wesoły — jak wiosna.

Na odgłos dzwonów śpieszą do kościoła na sumę, przed którą odbywa się «święcenie palm». W Polsce palmy są wiązankami wierzby, przystrojonymi przez gospodynie sztucznymi kwiatami, mirtem i barwnymi wstążeczkami.

Poświęcone palmy niesie lud do swych chat, gdzie zatyka je za święte obrazy. Z kilku poświęconych gałązek wierzbowych sporządzają krzyże, które wsadzają w cztery rogi posiadanej gruntu. Każdy połyka również parę «bazi» z niezachwianą wiarą, że one przynoszą mu zdrowie. Jest u ludu i to przekonanie, że «kto w niedzielę palmową bazi nie połknie, ten nie będzie zbawiony». Gospodarze wypędzają również bydło na łąki z palma w ręku, by zwierzęta w czasie pasienia nie uległy chorobie.

Do dnia tego przywiązane jest przysłowie: «Pogoda w Kwietniu Niedziele wróży urodzaju wiele».

W niektórych wsiach «przebierają się» chłopcy za «pucharników». Ubierają się w co kto ma najgorszego, zwykle w kozuchy, wełną na wierzch obróconą. Twarze smarują sadzą. Wieczorem zatrzymują się przed domostwami, gdzie po wywabieniu mieszkańców za pomocą tłuczenia drewnianym młotkiem w ściany chaty, wygłaszają różne wiersze, np.:

Jedzie sobie Pan Jezus 15
Do miasteczka małego; —

Osiłek pod nim lichy,
Pan Jezus na nim cichy,
Dajcie osiołkowi sianka
I o mnie też nie zapominajcie,
Na siedem śledzi mi dajcie,
Inni na bochenek chleba,
Bo jeść dać mi potrzeba,
A wam za to zapłaci
Sam Pan Jezus z nieba.

Za wygłoszone oracje otrzymują chłopcy podarki, najczęściej jaja.

Wielki Czwartek.

W Wielki Czwartek po «Ciemnej Jutrznii», w kościele odprawianej, chłopcy wybiegają na cmentarz, zwykle kościół otaczający, gdzie gonią «Judasza» z ich grona poprzednio wybranego. Złapanego biją dotąd kijami, dopóki im nie odda dwunastu otrzymanych «srebrników», sporządzonych zazwyczaj z cynkowej blachy.

Gdzie indziej robią «Judasza» ze słomy, obwijają go szpargałami i smarują sadzą. W zanadrze wkładają mu potłuczone szkło, miast srebrników, za które nieszczęsny Judasz Iskariota zaprzedał swego mistrza Chrystusa starszyźnie żydowskiej, a tym samym skazał Go na ukrzyżowanie. Gotowe już uosobienie zdrady i fałszu wloką po całej wsi, wieszając w końcu na drzewie, wśród nagrawań.

Judasie, nie daj się,
Bierz kija i broń się.

To znów wnoszą go na wieżę, skąd zrzucają; pozostali na dole chwytają bałwana, okładają go kijami, poczem rozszarpują lub topią. W okolicach górskich palą «Judasza» na okolicznych wzgórzach. Judasza sporządzają z pakuł, nafty i smoły; bałwan ten płonie niejednokrotnie do następnego wieczoru.

W niektórych wsiach po uroczystej Mszy św. myją wszyscy nogi na namiątkę umywania nóg 12 apostołom przez Chrystusa Pana.

Wielki Piątek.

Od wczesnego ranka biegają chłopcy po całej wsi z grzechotkami, przypominając w ten sposób, że nikt nie śmie w tym dniu tknąć nabiału. Ludzie po wsiach poszczą cały dzień i nie ciepłego nie gotują.

Dawniej, po miastach, a nawet znaczniejszych wsiach, po południu, zaczynały się procesje pasyjne, mające na celu przypomnieć bolesny korowód na górę Kalwarię. Wybrani po temu ubierał się w czarną szatę, wkładał na głowę cierniową koronę i wzięwszy na się wielki dębowy krzyż, niósł go na wyznaczone miejsce. Upadającego pod ciężarem krzyża bito z okrzykiem: «Postępuj Jezu». Gdy orszak zjawił się na umówionym miejscu, «kapnicy» w kolorowych szatach bicowali się nawzajem.

Przy pięknie ustrojonych «grobach Chrystusowych» zbierają się tłumy ludzi, by oddać cześć Ukrzyżowanemu. Jest to pozostałość przedstawień pasyjnych, odgrywanych w dawnych czasach po kościołach.

Rozpamiętywując bolesne sceny z męki Chrystusowej i boleść Jego Najświętszej Matki, lud wyrażał swe religijne uczucia, spotęgowane smętnym nastrojem kościoła katolickiego w pieśniach postnych, samorzutnie tworzonych, które dzisiaj powszechnie śpiewamy, dzięki zebraniu ich przez ks. Mioduszeńskiego.

Do Wielkiego Piątku odnoszą się następujące przysłowia:

«W Wielki Piątek, dobry siewu początek».

«Jeżeli w Wielki Piątek deszcz kropi, — będzie urodzaj, radujcie się chłopcy».

«Kiedy w Wielki Piątek rosa, — nasiej gospodarzu dużo prosa».

Wielka Sobota.

Gdy dzwony w czasie Mszy św. w Wielką Sobotę oznajmniają wesołą nowinę Zmartwychwstania Pańskiego, ludzie potrzásają po sadach drzewami owocowymi, aby dobrze rodziły. Gdzie indziej, na odgłos dzwonów, biorą do ręki pieniądze i nimi w zaciśniętej garści zawzięcie brzęczą, by im się szczęściło i nigdy grosiwa nie zabrakło.

Po wsiach parobczaki, uwiązawszy śledzia na sznurku, wieszają go, by w ten sposób zaznaczyć, że post się skończył. Gdzie indziej zakopują na krańcu wsi garnek z żurem.

Po chatach wiejskich dziewczęta robią «pisanki». Jest to bardzo stary zwyczaj, gdyż spotykamy się z nim przy uroczystościach na cześć wiosny. Od pogan zwyczaj ten przejęli pierwsi wyznawcy Chrystusa, przypominając sobie przez malowanie czerwonych jaj męczeństwo, śmierć i zmartwychwstanie Zbawiciela.

Wieczorem (czasem i w Wielką niedzielę) odbywa się w kościołach rezurekcja, w czasie której śpiewają ludzie starodawną pieśń: «Wesoły nam dziś dzień nastał». Po rezurekcji po wsiach ludzie wracają szybko do domu, bo kto do niego prędzej dobiegnie, ten ściągnie na siebie błogosławieństwo Boże i szczęście. Wieczorem w całej wsi panuje jakaś niezwykle uroczysta cisza.

(Młody Polak w Niemczech).

M. Konopnicka

W Wielki Piątek w Polsce

Tak mi się czasem wudaje, o, Chryste,
Że nie tam kędyś daleko, za morzem,
Aleś tu, u nas, miał drogi cierniste,
I żeś tu naszym przechadzał się zbożem,
Puszczając palce po hartie tuch kłosów,
Co mają ludzki jęk i echa głosów.

Że tutaj, w której z chat naszych, o Panie
Gdzie przez tułaczy wytarte są progi,
Buł Twój wieczernik smętny i rozstanie,
I chleb łamany z braćmi, i te trwogi,
By słów ostatnich nie wydały ścianu,
I pożegnania kielich — krwią nalany.

I zdaje mi się, że te nasze sosny,
Te brzozy białe, szumiące wśród niwy,
To był opróciec Twej męki żałosny,
To były Twoje miesięczne oliwy,
I że tej nocy Twój pot ściekał krwawy,
Na leśne zioła nasze i trawy.

I zdaje mi się, żeś tu był pojmany,
W pęta zakuty i sieczon u słupa...
Że tak mi Chryste znajome Twe rany,

I silność Twoja, i katów Twych kupa,
I świst rzemieni, co krają, jak nożem,
Że to nie mogło być gdzieś hen, za morzem!

I to wiem, Panie, żeś tu kędyś blisko
Pod krzyżem upadł na nasze ściernisko
I żeś krwią Swoją tę ziemię zakrwawił,
I obraz na niej Swej męki zostawił,
I patrzę nieraz na pola te puste,
Jako na ową z Jeruzalem chustę...

I wiem, i czuję, że tu jest Golgota,
Gdzieś był przybity do krzyża, o Panie!
Bo nie jest nigdzie tak ciężka tęsknota,
I takie blasków słoneczne konanie,
I taka żałość, i tak do ostatka
Nigdzie, przy krzyżu syna, nie trwa matka.

I zdaje mi się, że tu leżysz w grobie,
Który jest ciężkim zawalon kamieniem,
I że straż pilna czyni się przy Tobie...
A ja czekam z tęsknotą i drżeniem,
Bo wiem, bo czuję, że tu też, o Panie,
W dniu trzecim — będzie Twoje zmartwychwstanie.

BAZIE

Nazywa się kwiecień. Budzi z uśpiania pierwszy kwiat wiosny: pierwiosnek, po nim nieśmiałe sasanki i w barwie gorące, zuchwałe kaczeńce.

Potem ockną się drzewa, polskiej matki dzieci: ol-szyna, osika, a z nimi, jak żywe — leszczynowe kolki i — radość wiosny: faworytne baze na krzywej, brzydkiej, rosochatej wierzbie.

Któż jej z chłopców nie zna? Jakby nie znał strugi, nad którą ucieka nieraz z domu, gdy go spotka jakaś krzywda. A tam jakże błogo! Nie ma żadnej geografii, gramatyki, bladych, wymęczonych książek, tylko złoto-szmaragdowe głębie i jak strzały, srebrne rybki.

Stara wierzba ustrojona już na święta w śliczne baze. Górą patrzy sobie w słońce, a gałęzie zanurzyła w chłodnej wodzie. Taka przecie jest szczęśliwa, a tu ludzie wymyślili: wierzba płacze. Czego płacze? Kiedy drzewu jest najładniej na wiosnę.

Dobrze tylko, że nikt nie wie, co się myśli.

...Żeby łódka, żeby płynąć gdzieś daleko z przygodami! Straśnie miłe są przygody.

Ale dadzą ci tam choć pomyśleć! Ledwoś zaczął, już ktoś krzyczy od ogrodu:

— Ja-anek — Ja-anek!

I skąd wiedzą, że słyszysz? Nawet można się tak zgłuszyć w sobie, że naprawdę nic nie słysząc.

(Ale wołanie staje się głośniejsze, jakby bliższe.

Coś niedobrze! Jeszcze tylko... co tam siedzi pod koreniami? Coś dziwnego... jakieś wąsy... Jezus Maria! W dziurze wielkie, czarne raki!

— Janek!

Więc się idzie, nawet prędko. Trochę tylko się ogląda. Ale już i ogród. U przelazu ojciec stoi. Widać znowu naskarżyli. Bliżej, bliżej... Już gorąco i już patrzą siwe oczy, takie groźne, choć kochane.

— Gdzie chodzicie?

— Ja po kotki, co na wierzbie...

— Nie wiesz o tym, że nad wodę ci nie wolno? Nie wiesz?

Młode baze srebrnoszare, jak ubranko, aksamitne i tży na nich, jakby rosa.

Ale chwila i już jest słońce.

**

Wczesną wiosną mają baze swoje święto. W ten dzień uroczysty, przeradosny, lud niesie z pól w kościelne nawy pierwszy znak wiosny: rozkwitłe wierzbowe prątki. Widzi w nich dobrą nadzieję, nawet moc życiodawczą dla zdrowia. Święci też Kwietnią Niedzielę z pobożną i wdzieczną miłością. Odwieczny ten zwyczaj przyszedł do nas z włoskiego Południa i stąd nazwa Palmowej od palmy, równie tam pospolitej jak nasza wierzba. Młode jej pędy zacinają Włosi bardzo miśternie i plotą z podłużnych liści formę ozdobną, w strzelisty ornament, którego ani porównać z ubożuchną gałązką rodzimej wierzbiny. Jakby zagraniczny książę

stanął przed chłopem w siwej sukmanie. Ale chłop mocą wiary dostojniejszej od niego, uroczysty w kościele, choć niesie przed Pana nad Pany dar taki biedny.

Bo i cóż się to dzieje we włoskim, wioskowym kościele! Ani sobie wyobrazić tej wrzawy w kłębiącej się ludzkiej gromadzie, równie czarnej jak brudnej, choć zawsze w kolorowych gałganach, jakby fala, czerwono i żółto znaczone, a nad nią w kurzawie bladeżółtawe palmy się kołyszają, ubrane we wstęgi, kokardy. Jedne dzieci wrzeszczą na rękach, nie czesane nawet od święta, inne, ledwo od ziemi odrosłe, cisną się, tłoczą, wspinają na ławki, rwą matczyne spódnice, przy czym pisk, jazgot i nawoływania się starszych — jednym słowem w kościele jakby na rynku małego miasteczka, kiedy go chmara żydów obsiadzie.

Któż by syśzał tam księdza, któż by zdołał w tym tłumie otworzyć mu przejście, aby palmy poświęcił! To też ledwo machnie raz, drugi od ołtarza kropidłem i rad pewno, gdy z tej ciżby, zaduchu i kurzawy wyjdzie na słońce.

**

Jakże inaczej u nas, gdy staną ludzie szpalerem, a taka cisza, że słysząc na lipach święgoty i ledwo oddech podnosi piersi z sercem wzruszonym, aż nagle zamrze, gdy oto w szarym tłumie rozbłyszczą jak maki czerwone komeżki. Za nimi ksiądz w kapie, aż łuna i już się chył głowy pod świętą wodą.

A potem ze zbożną w duszach rzewnością, w sobie zamknięci, wracają ludzie i za obrazek Królowej Polski zasunie każdy pęczek wierzbiny. Na święty termin, do przyszłej wiosny, niby ów dank Bogu złożony, jak ten wieniec pszeniczny, od żniwa do żniwa zawieszony w podsieniu. Jak te litery, kredą święconą kreślone na drzwiach chaty, czy dworu i trwać mające do nowych Trzech Króli.

Ani poświęć gdzie indziej, choćbyś zeszedł świat cały! I przez to może, przez piękny obyczaj, kraj taki drogi, choć taki szary, jak baze z polskiej, ukrzywdzonej wierzbiny.

Rzeczy, których albo szukasz pełen nadziei, albo unikasz z lękiem, nie przychodzą do ciebie same, ale raczej w pewnej mierze ty przychodzisz do nich. Nie troszcz się o nie, a one pozostaną w spokoju tam, gdzie są --- i nie będziesz się ani ich obawiał, ani pragnął.

Marek Aureli

**

Kiedy człowiek zetknie się z duszą własną, staje się wówczas prostaczkiem, dzieckiem, takim właśnie, jakim wedle słów Chrystusa być mu należy. I to właśnie jest rzeczą naprawdę tragiczną, że tak niewielu ludzi zdoła przed śmiercią osiągnąć duszę własną chociaż by na chwilę.

Oskar Wilde

PRZY ŚWIĘCONEM

Powietrze było ciche, srebrno-modre i odświeżone, pełne zapachu ziemi i pokrzyku radosnego czajek. Na lazurowej wodzie strugi kaczeńce kładły żywe dukaty swych płatków.

Pan miecznik spojrzał w tę stronę niechętnie. Za strugą bowiem ciągnął się leżący ugięty kawałek spornego pola, o który z imię panem Gorzeniem od dawnych lat się prawował. Nieguys pono zni zgodnie, aż spor zadawniony uczynił z nich wrogów. Nie chodziło im już o szmerek nowatej roli, jeno o to, który postawi na swoim i wodzili się od sądu do sądu, a nienawisć wzajemna rosła, bezkosna i zjadła. Więc też ilekroć pan miecznik rzucił teraz oczy w stronę strugi, wnet je odwracał, by dnia uroczystego szpetnymi myślami nie macić.

Słońce grało cudnie w jego paradnym kontuszu i skrzyło na bogatej rękojści szabli. Pani miecznikowa areptała przy boku męża w sztywnej sukni i jupeczce z opuszkami sobolimi. Za gospodarstwem, wybierając co suchsze miejsca na goścince, ciągnęli familianci i goście. Staroscina Zagrodzka, siostra pana miecznika, strojnisa wielka, krzywiła trochę nosem na brato, ale na to nie było rady.

Wracano z kościoła piechotą, bo słusznie mniemał pan miecznik, że w Wiekanocną Niedzielę nawet bydło nie może winno mieć wypoczynek godziwy i święto. Kiep, kto dnia tego bez oczywistej potrzeby milreży uznajoną chudobę! Idąc, mijano gromady wracających do wsi chłopów. Odświeżeni odziani, w długich sukmanach, zdejmowali wielkie czapy z głów, świecących smalcem, bez codziennej pańszczyznianej pokory, w uroczystości dnia odnajdując na godzinę coś, niby wspomnienie swej dawnej godności.

Dzień był ciepły. Żółte kotki na wierzbach przydrożnych plawiły się w słońcu szczęśliwym, a nie znając wypoczynku pszczoły huczały wokół nich.

Tymczasem we dworze jejmościanka Anusia, wyprzedziwszy wszystkich, krzątała się w towarzystwie pana Cholewy koło stołu, poprawiając przywiedzie od wczoraj girlandy z barwinku i bukszpanu. Stół był ogromny, poprzez całą jadalną izbę ustawiony. Po środku długim szeregiem baby, w kształt tureckiego zawoju skręcone, wznosiły usniezone cukrem czuby. Wokoło półmisków, spiętrzonych wszelakim mięsiwem, leżały wieńcem kołaczki. Podle nich biał ser, wielki, jak miśsiak, zaś skraj stołu obległy obficie mazurki imbierowe, muszkatelowe i jakie tylko są. W samym środku, na zielonym kopczyku rzeżuchy, paść się jakoby baranek, z masła wyrobiony z proporczykiem czerwonym, na którym wypisane było: «Alleluja!»

— Anusiu! — dobiegł głos miecznika z ganku — z maikiem idą!

Panna skoczyła żwawo do swojej komnatki, gdzie chusty: modra, żółta i różowa leżały na gotowalni. Drzwi, mocno pchnięte, zakolebały się dziwacznie.

— Jezus, że chłopcy, nikt inny... Dlaboga!!

— Anusiu! — pilił pan miecznik. Biegnąc przez sieni,

zobaczyła braci: Juraszek pokazywał Bolkowi tęga, bżową sikawicę.

— Nie mówim? — Niesie stąd aż do lamusa... — szepotał gorączkowo.

Spojrzała na nich z odrazą, pędząc na ganek, gdzie zielone drzewko maika, ubrane kolorowymi wstęgami, obracało się już z wolna na wietrze. Między gałązkami wisiły wymuchane jajka. Mała dziewczynka w długiej do ziemi kapocie kręciła to pradowne godło wiosny, maju, życia, gdy dwie pozostałe cienkimi głoskami śpiewały:

«Maiczek zielony, pięknie przystrojony...»

Wszystkie trzy były niezmiernie uroczyste; choć oczy śmiały im się do gwałt i kłódnego przez panią miecznikową do kobiątki placka.

— Laudatur Jesus Christus — zabrzmiało naraz.

To ksiądz dziekan wchodził na ganek. Pacholik w barwie otworzył na oścież drzwi jadalni i gospodarz powołał kompanię za stół. Imię Cholewa podał mu wielką misę srebrną, pełną pstrokatek kraszanek.

— Daj nam Boże, przeżyć zbożny wiek, jejmość do-brodziejko! — rzekł pan miecznik, podchodząc do żony.

— Daj że to, Boże! — odparła, chyląc mu się do ramienia i po kraszankę sięgając. Obchodził potem wszystkich z kolei, według godności i wieku.

— Daj że ci Boże, Anusiu... ale cóż to waćpanna jakaś zafrasowana?

— Bo proszę jegomości, — wybuchła — chłopcy zaworę z komnatki wyrwali, pewnikiem chcą się jutro lać, bo już i sikawicę mają...

— A mają! I dobrą... — parsknął z cicha Bółko.

— Familia zjedzie, ksiądz przeor zjedzie... Chorążyc zjedzie... szepnął złośliwie Juraszek.

— Więc jako że się z mokrymi kosami ukazę?! — biadała nieboga, z zalem poglądając na śnieżne przygiezeczku kryzy. Ale daremne były jej skargi, bo pan miecznik, uśmiechnąwszy się pod sutym wąsem, poszedł dalej.

— Nie obaczysz by kęsa marcypana! — syknęła gniewnie do brata.

— Tyś pani matka?

— Pani matka nie tacy, jak jegomość. Ujmą się za mną, zobaczysz!

— A jakże! — odburknął zuchwalec.

Tymczasem w górze stołu opowiadał coś donośnie ksiądz dziekan.

— ...Ledwo tedy ruszył, oblała się kolasa. Pognał łogoszowego do domu po drugą podwodę, sam zaś aże nogami tupał ze złości na drodze...

— Bóg nierychliw, wszakże słusznie tyloletnią przewrotnością zindygowany, gniew mu Swoją publicznie okazał... — stwierdził pan miecznik z powagą.

Zaległo milczenie, bo wymęczeni długim postem ludzie aż drzeć do jadła i w ciszy słyhać było jeno chrzęsty a chrupanie. Psy ulubieńcy merdały pod stołem ogonami, chwytając chciwie odrzucane przez jedzących kości. Pan miecznik jadł i myśli zbierał, by orację, jako obyczaj każe, wygłosić.

— ...Kołasa mu się obłamala... — zaczął znowu ksiądz.
Nagle Juraszek trącił siostrę w zdumieniu.

— A to patrzaj, kto idzie przez dziedziniec!

— Cichaj, na Boga, bo jak jegomość usłyszają...

Lecz pan starosta Zagrodzki, miecznikowy szwagier,
spojrzał równocześnie w okno:

— Gorzeń idzie podle bramy! — krzyknął.

Pan miecznik porwał się, jak oparzony.

— On na moim dziedzińcu! Bij, kto w Boga wierzy!!

— wrzasnął i wypadł do sieni.

— Jezusie Mario! W taki dzień! — szlochała w głos
pani miecznikowa, wybiegając za nim, a za nią reszta
obecnych.

— Pax, pax! Misericors Domine! Pax! — błagał
ksiądz dziekan.

Oni zaś stali już naprzeciwko siebie, zębami błyska-
jąc i kurczowo rękojeście szabel trzymając.

— Odkąd to droga wasześci przez moje podwórko?
— spytał pan miecznik, zachytując się z pasji słowami.

Imię pan Gorzeń skrzywił pogardliwie twarz.

— Droga widzi mi się swobodna każdemu. Wiechy
przejścia wzbraniającej, nie widziałem — rzekł wy-
niośle.

— Wara ci stąpać na mój grunt!

Porwali się ku sobie zjuszeni. W tejże chwili w po-
bliskim kościele uderzyły dzwony niesporne i biły po-
tężnie powietrze, a drogą szli ludzie śpiewając.

— ...Przez Twoje święte Zmartwychwstanie, — Boży
Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie... — zabrzmiały
głosy już pod samą bramą. Gromada chłopska stanęła
we wrotach.

— Wierzmy, żeś zmartwychwstał, — żywoteś nam
naprawił — śmierci wiecznej nas zbawił...

To włodarz Bartoszek wiódł cześć, by się starym
obyczajem z dworem święconym jajkiem podzielić. Dwaj
przeciwnicy bezwólnie zatrzymali się w pół kroku.

— Przyszliliśmy z państwem społecznie się ucieszyć.
Chrystus zmartwychwstał jest!

— Alleluja! odparła przez łzy pani miecznikowa.

— ...Chrystus zmartwychwstał jest — nam na przy-
kład dan jest — iż mamy z grzechów wstać...

— Alleluja! — odparli chórem obecni.

— ...Przez Twe święte zmartwychwstanie — użyż
nam win odpuszczenie...

Pan Gorzeń opuścił szablę.

Zaś miecznik oddychał ciężko, jakoby w śmiertelnym
zmaganiu. Twarz mu pobiła, jak chusta, a pot krop-
listy wystąpił na czoło.

— Chrystus zmartwychwstał... rzekł nagle odmie-
nionym głosem. Wybaczenie sąsiedzie i raczcie usiąść
k'święconemu razem z nami...

— Zmartwychwstał zaiste, — odszepnął pan Gorzeń
— wybaczenie, panie bracie...

Dzwony wciąż biły, głosząc całemu światu alleluja.

*Jest wolą Chrystusa, abyśmy pośród działań najpraktyczniej-
szych i najliczniejszych w życiu odwiedzali stale głębie naszego
ducha, naszą jedność i nasze wyobrażenie Boga.*

Rusbrock

*Nie wziąć sprawy (Królestwa Bożego) całym duchem, jest to —
postawić drabinę krzywo; wejdziesz na nią do pewnego punktu, i
upadniesz z nią razem. Wtedy musisz stawiać ją na nowo.*

A. Mickiewicz

*Bóg żąda od człowieka dwóch rzeczy: miłości i poznania. Tego
jednego przynajmniej człowiek jest pewny: że jest i że coś kocha.*
Pascal

*W rzeczach koniecznych — zachowujcie jedność; w wątpliwych
— wolność; we wszystkich — miłość.*

Św. Augustyn

*Życie ludzkie jest kartką w środku książki: aby ją zrozumieć,
trzeba wiedzieć, co było na kartkach poprzednich.*

A. Mickiewicz

*Kto przyucza się zwodzić ludzi, ten w końcu nie jest zdolny
objawić szczerze swojej własnej istoty. A kto nie umie się obja-
wić, ten nie może kochać i jest człowiekiem najniebezpieczniejszym.*
Kierkegaard

*Kto jest i pozostaje szczerzy względem siebie samego i innych,
ten posiada najpiękniejszy przymiot największych talentów.*

Goethe

Kazimierz Wierzyński

Piłsudski

*Gdy w pałacu przed sobą staniecie oboje,
Już ty go nie uwiedziesz, ani go nie skłusisz,
Na wszystkie dziwne gusta i uroki twoje
Wyzgrzyta ci przez zęby swe uparte: musisz.*

*Niedarmo w wypalonych przydrożnych ogniskach
Popiołów twoich szukał i śladów pochodu.
Z gasnących warg, co cichły na pobojuwiskach,
Podłuchał całą prawdę twego rodowodu.*

*Nie skłamiesz mu, nie zelżesz swej plotki papuziej,
A gdy ci spojrzy w oczy — przeraż się i przyznaj!
Watykan zamknie okna, odjadą Francuzi,
Europa się zaśmieje, on szepnie: ojczyzna...*

*Wypuść go, niech wyleci, niech płaszczem powieje,
Niech porazi paradą tysiąca swych szabel!
Pamiętaj! W twoich dziejach on jeden się dzieje,
Przeprowadza czas i krzyczy z pod ziemi, jak kłabel.*

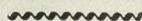
*Podciąć mi słupy czarnych, beczelnych szubienic
I historię wypędzić z kazamat na wiatry,
Heroiczny mój dramat odrzucił swój wieniec,
Już pali się! Już w ogniu stanęły teatry!*

*Już zerwali się wszyscy, z południa, z północy,
Do nowych stolic radio przebiega się w górze!
Wracajcie emigranci! Przylećcie prorocy
Z cudzoziemskich cmentarzy, błogosławić burze!*

*Bo tu się Bóg na polskim Mazowszu rozpęta,
Siedmiogrodzkie powietrze przywoła Batory.
Już dzwonią wszystkie miasta! Rozległy się święta!*

Uciszczone się! Niech z Litwy zaszumią mi bory.

O KULTURZE POWSZECHNEJ I NIEPOWSZECHNEJ



Nr. 7-8 «Razem» przyniósł nam przedruk artykułu z podziemnego miesięcznika krajowego. Artykuł p. t. «Żywe źródła kultury» czytamy ze wzruszeniem, jak wszystko co dotiera do nas z kraju. Wzruszenie to rozmaite przybiera formy, zależnie od tego, jaki jest nasz stosunek do przeszłości, do chwili obecnej i do dnia jutrzejszego.

Jesli czasem ktoś z nas miał szczęście otrzymania z Warszawy drobnej paczuski zawierającej ciasteczkę haftowaną ręką matki, pasek od sukni pozostawionej w szafie na babskiej kępie, lub kilka «rysów» Wedla, cnotwalismy te drobiazgi do «sanktuarium» w zniszczonej walcze, do prywatnego muzeum — pakaliśmy nad nimi i wspominalismy... W smutku wspomnienia były i radość przeżycia raz jeszcze w pamięci dobrzych szczególnych dni.

Ale jesli przychodził czasem list — już «od progu» koperta pokryta obcymi groźnymi znakami ostrzegająca, że nie należy wspominać, bo wszystko jest teraz inaczej. Znaczek z wd. garnym zimnym promieniem budził mienawie, tajemnicze cyfry cenzury czające się w rogu koperty, jak pułapki zastawione na każde wolne słowo, pieczęta z szatańskim orłem przerażała jak znak wyparony na ciebie jencą, a brutalnie wpoprzek rozciągnięta pręga, przezerana na wyłot papier jadem, który wyrył postanowił najjaśniejsze myśli. Wśród takich groźnych, obcych, zimnych znaków — znajome duszne pismo — adres nasz pisany drogą ręką, usiłował uspokoić, że nie wszystko się jeszcze zmieniło, że coś tam jeszcze się ostało, że «żyją i nie są głodni». Ale nie wierzyliśmy tym uspakajającym słowom; niepokój, tęsknota, nieufność, mienawie i bezdomność, sprawiają to, że mimo częstych nawet listów, straciliśmy stopniowo kontakt z rzeczywistością w kraju. Jesteśmy jak zbłąkany wędrowiec, który w głuchym lesie woła: hop! hop! i zaden głos nie nadpływa w odpowiedzi. Czasem tylko w gwiazdzystą noc uda nam się dokładnie wykreślić na niebie kierunek, ręka bezwiednie wznosi się ku górze i patrzymy długo w niebo, przejęci prostą oczywistością, że tam u nas te same gwiazdy świecą. A gdyby można było tam iść, iść i dojść...

Niekiedy jednak w męczącej ciszy oczekiwania dochodzi do nas z kraju dalekie hop! hop! i wprawia nas w stan podobny wzruszeniu, jakiego doznał zapewne Robinson, kiedy po latach samotności ujrzał okręt, który miał go przygarnąć.

Artykuł przedrukowany z krajowego pisma był dla mnie takim doznaniem, usłyszeniem znajomego głosu, na który natychmiast trzeba odzysknać.

Problem przyszłości kultury polskiej poruszony przez autora jest problemem, który najżywiej nas obchodzi.

**

Czy kryzys kulturalny naszego wieku, który słusznie i przenikliwie upatruje autor w podziale na producentów i konsumentów kultury — da się rozwiązać przez t. zw. upowszechnienie kultury?

Czy «dopuszczenie chłopca i robotnika do szkół, muzeów, bibliotek i teatrów» prowadzi do «twórczej pracy zbiorowości w dziedzinie dóbr duchowych»? Wydaje mi się, że jest pewna sprzeczność w postawieniu problemu. Może naswieci ją nam przykład muzeów. Muzea — to pomysł społecznego, postępowego i pełnego dobrej woli XIX wieku. Zjawisko to wyrosło z potrzeby pieczołowego konserwowania zabytków przeszłości. Zmysł konserwatorstwa w samym założeniu jest przeciwny rozpędowi twórcemu. Zbieramy troskliwie dorobek przeszłości, bo sami nie jesteśmy w stanie nig nowego wytworzyć. Potem w niedzielę wsiadamy do autobusu i jeździmy ogłupiać «za darmo» dzieła sztuki, których twórcy przypłacili je krwawym potem. Pasożytlujemy na cudzym dorobku, jesteśmy konsumentami, którymi właśnie nie powinniśmy być.

Kto był w niedzielę w Luwrze, ten wie, że jest to miejsce randek dla młodych par, które stoją przed Mona Lisą i wygłaszają zdania, dowodzące zresztą dobrej woli w zrozumieniu tego dziwnego obrazu: «no tak, to taka Marianna Dietrich tamtych czasów — tylko że ma twarz mniej awantazowną». Płytki dowcip Sachy Guity zrobiony z tej satyrycznej anegdoty piękny film «historyczny». Stada dzieci rozmaitego kaimru bawią się w cnotanego posród egipskich i greckich rzezb, co bynajmniej nie sprzyja skupieniu. Outewy gipsowe Wenus z Mino, które za jeane 50 fr. można nabyć i postawić u siebie na biurku — to tak jak msza siuchana przez radio.

Wszystko to są objawy pasożytnictwa na cudzym dorobku, wymiany na drobne wspaniałych wartości, życie ułatwione i kultura upowszechniona, która właśnie wytwarza fatalny podział na producentów i konsumentów. Wchodzi się do muzeum jak do baru, gdzie stoi zimny darmowy bufet. Można tam zjeść kanapkę jedną i drugą, nawet z pożytkiem dla organizmu, ale rzadko bardzo świta w głowie myśl, że może należałoby za nią zapłacić. Większość współczesnych wychodzi z poczuciem, że doznania dostarczone im przez dzieła, które obejrzei — należą im się w zupełności, a nawet, że spełnili piękny uczynek, wyrażając dobrą wolę kształcenia się i chłonięcia kultury.

Jeden z największych malarzy flamandzkich, Stary Bruegel, syn węglarza, zaczął od tego, że węglem rysował wszystkie płoty rodzinnej wioski — a kiedy chciał się nauczyć malować i zobaczyć mistrzów — wziął kij pielgrzymi i poszedł piechotą do Włoch — jak do ziemi świętej. Gdyby wsadzono go dziś do samolotu i sposobem ułatwionym, za darmo, w niedzielę zaprowadzono go do muzeum — nie malowałby z pewnością tak dobrze jak to robił.

Jest w tym wszystkim paradoksalny stosunek do sztuki, z jednej strony stawianie na piedestale, konserwowanie w muzeach jako najwyższy dowód pieczołowego uwielbienia — z drugiej strony korzystanie z

tych «świętych» wytworów jak ze szlafroka, autobusu lub dobrego obiadu.

Dzieła największych mistrzów miały jak najbardziej skromne aspiracje — były przeznaczone na dekorację sali jadalnej w prywatnym mieszkaniu, względnie do bocznego ołtarza w kościele parafialnym. Zawieszenie ich na gołych matowych ścianach gmachu, przypominającego koszary — odbiera im istotny sens, czyni z wielkich samotników jak Rembrandt lub Goya, szermierzy sprawy, o której nigdy nie myśleli. Ustawia się ich w szeregu, równiutko, jeden obok drugiego, i każe biedakom wołać wie kim głosem «pójdźcie tu wszyscy, patrzcie gdzie jest piękno i jak należy je tworzyć».

Sztuka o założeniach wychowawczych, sztuka na usługach pedagogii społecznej — przestaje być sztuką, każde natomiast dobre dzieło jest z natury swej wychowawcze. Wielkość jego polega na wielowartości, na tym, że każdy człowiek młody czy stary, mądry czy głupi, bogaty, czy biedny, szczęśliwy czy nie — odnajdzie w nim część dla siebie.

Pan Tadeusz zawędrował o własnych siłach pod strzechę, na sztukach Moliera jedni będą płakać, inni śmiać się, ale podobają się one, jak wiadomo, zarówno królom jak i tłumowi. Są fragmenty Szekspira czy Don Kichota, które w każdej chwili z niezawodnym powodzeniem przeczytać możemy kucharce w kuchni. W Rembrandt'cie biedak dojrzy smutek i brunatność życia, bogacz-królewskość i przepych, sceptyk-ironię, wierzący-pokorę, realista-mistrza i surrealista-nauczyciela. Jak dobrze zagrają Bacha w kościele na organach to i dewotka wyjdzie wstrząśnięta, a na oficjalnym galowym koncercie — piękna pani zapomni na chwilę o sobie i swojej sukni. Prawdziwa sztuka ma własne metody wychowawcze, które przekraczają o niebo nasze społeczne metody propagandowe.

Rozważania te mogłyby wydawać się nie na czasie, jeśli uzmysłowimy sobie, że Polska wyjdzie z tej wojny odarta z tych nielicznych zabytków kultury materialnej i sztuki, które posiadała. Muzea, biblioteki i zbiory prywatne przestały istnieć, a kraj wyłoni się z potopu jak góra Ararat obmyta i splukana starannie. Na jej zamulonej powierzchni trzeba będzie sadzić na nowo kapustę, kartofle i róże. Czy znowu powstanie pytanie, co jest ważniejsze — kartofle czy róże? Czy zaś istnienie problem wyzyskiwanego chłopca-żmłociela i pasożyta-inteligenta? Czy zarysuje się odnowa konfliktu pomiędzy twórcami kultury a ciemną masą konsumentów? Czy trzeba będzie pisać w gazetach o dopuszczeniu chłopów i robotników do światła kultury — co jest w założeniu upokarzające dla nich?

Wydaje mi się, że w Polsce, którą wojna wstrząsnęła jak zbeftana butelką — problem socjalny już jest rozwiązany. Tylko przemieszanie warstw społecznych mogło wytworzyć tę jednolitą piękną postawę nainieszczeńliwszego z narodów. Zdali w niej egzamin wszyscy: — chłopci, robotnicy i inteligencja. Chłop nauczył się sadzić w ogrodzie warzywnym nagietki i malwy — kwiaty współczucia, solidarności i pomocy niesionej wygłodniałym miastom i oddziałom Armii Krajowej. Inteligent uprawiający niedołężnie działkę z kartoflami na Żoliborzu — wyciągnął czarna dłoń do chłopca i schylił przed nim snoczące czoło. W uśmiechu porozumienia razem zacieli zęby.

Nie należy być może służyć zbyt pochopnie zakończenia nowieści «Nad Niemnem» Orzeszkowej. Są ludzie, którzy z pobłażaniem twierdzą, że rozwiązanie problemu spo-

łecznego przez małżeństwo szlachcianki z chłopem — to pomysł, który jedynie kobiecie mógł przyjść do głowy. Cyfują też równocześnie społeczne aspiracje romantycznej Georges Sand. Wydaje mi się jednak, że nie należy bagatelizować «mądrzej rady pani Elizy», która o niebo mądrzejsza była od «la bonne dame de Nohant». Kiedy się zwiedza w parku wersalskim mikroskopijną wioskę-zabawkę, w której królowa bawiła się w chłopkę, nie można się oprzeć wrażeniu, że rewolucja francuska była koniecznością psychologiczną. Skoro królowa z nudów pozwoliła sobie na perwersję zbudowania chałupy d'a zabawy, nie dziwnego, że chłop wtargnął do pałacu, aby bronić swej godności.

Nie widzę w historii Polski takiej potrzeby i jeśli Orzeszkowa nawołuje do ślubu szlachcianki z chłopem, to symbol ten ma wartość dlatego właśnie, że nastąpiło już uprzednio wzajemne porozumienie.

W nowych warunkach trzeba będzie tworzyć nową kulturę. Na gruzach, w nędzy, gołymi rękami. Wyłonić ją trzeba ze starannie wybranych elementów tradycji narodowej i z nauki, którą wyciągniemy z tej wojny. Tradycja to nie innego jak przeniesienie doświadczeń wewnętrznych minionych pokoleń na następne. Tradycja jest czymś pośrednim pomiędzy dziedziczością a świadomym, intencjonalnym nawiązaniem do przeszłości. Tak pojętej tradycji nie zniszczy żaden kataklizm dziejowy, a doświadczenia chwili obecnej wzbogacą jedynie jej wspólny skarb. Chodzi o to, by umieć z negatywnych napozór elementów wyłonić wartości, które nie giną.

Trzeba z ruin, z nędzy i słabości, z bezdomności, tułaczki i upokorzeń i z dni czarniejszych niż noc wyciągnąć «korzyści» jak płomień, który trawi wszystko co się weń wrzuci.

Wojna postawiła nas wobec problemów z dziedziny ostatecznej: wobec bezdomności, głodu, bezsilności, męczeństwa i śmierci. Oto pokarm naszego życia codziennego. Dzień każdy zmusza nas do przejścia tych Stacyj Męki — pielgrzymką, którą nieliczni jedynie odbywali czasem w dniach Wielkiego Postu. Przed każdą z tych Stacyj zatrzymują nas teraz dni kolejne naszego życia. Zastanawiamy się mimo woli, że jeśli huragan zerwał nam dach z nad głowy i rozwałił domy, to być może były źle pobudowane; przychodzi nam na myśl, że jeśli jesteśmy głodni, to być może dlatego, że nie napoiiliśmy swego czasu pragnącego; rozważamy bezsilność naszą i szukamy oparcia w Kimś Najmocniejszym; męczeństwo zmusza nas do sprecyzowania w imię czego cierpimy; widok śmierci najbliższych każe przygotować się do własnej, godnej śmierci. Wszystkie najistotniejsze problemy, które służyła w nas cywilizacja, przed którymi pozamykaliśmy się hermetycznie w betonowych kamienicach, w aulach, windach i kawiarniach, przed którymi uciekaliśmy do kin, dancin-gów i klubów, których nie chcieliśmy dojrzeć w sztukach Szekspira lub w obrazach Goyi — wszystkie te problemy stanęły nagle z nami oko w oko.

Kultura duchowa jednostki lub narodu jest niczym innym jak odpowiedzią na te najistotniejsze ostateczne pytania.

Tak pojęta kultura jest udziałem każdego człowieka, bez różnic klasowych czy innych, — i jedynie tak pojęta kultura nie tworzy podziału na producentów i konsumentów, na inteligencję i «ciemną masę». Jedynie taka kultura, budująca jednostkę ludzką — wolną jest od ekonomicznych i społecznych problemów. W

jej obręb nie ma miejsca na kołatanie «o dostęp do muzeów, bibliotek i teatrów dla szerokiego mas». Żadne sztucznie przeszczipianie gotowych wartości nie dadzą w tej dziedzinie wyniku. Aby obudzić w człowieku sumienie i myśl — nie trzeba tak rozbudowanych programów. Wystarczy czasem braterski uścisk ręki, jak twierdzi Orzeszkowa.

Nie płaczmy więc nad zburzeniem domów naszych, muzeów, bibliotek, zbiorów, zabytków i bogactw. Znajdziemy w sobie dość siły, aby zrealizować cel, który będzie już nie Powrotem, ale wyprawą po Nową Ojczyznę.

H. M.

ANDRZEJ CHCIUK

Modlitwa do nieznanego Świętego

Nie ma Cię w kalendarzu i nie ma w Kościele
może żyjesz dziś jeszcze zwykły, prosty człowiek.
Dobrocią swego serca głosisz ewangelię,
która wszystko obejmie w jednym tylko Słowie

Choć Cię nie zna kalendarz — to jednak istniejesz
i choć Kościół Cię nie wziął — to módl się za nami
i w swojej Ewangelii mów nam tę nadzieję
że wreszcie błysnie światło ponad ciemnościami.

O, że słowo się Ciałem stało i wciąż staje
wiedzą tylko nieliczni, cisi i pokorni,
co przez zgiełk maszyn, grzechów podają nawzajem
sobie wiatyk uśmiechu i tą siłą wolni.

Uśmiecham się do Ciebie ufnie i przyjaźnie
o, Święty Ty Nieznany, a tak znany dobrze
przez to, że kiedy z nami idziesz to nam rażniej
patron tych, co kompromis przecz im w walce obrzydł.

Modłę się, tak nie modląc: o, weź mnie za rękę,
nie strach mi już iść w życie, dziwne, dziwne życie,
gdzie są zmierzchy i świty, radości i męki,
gdy nad wszystkim jest Miłość i tylko Jej wici.

Był już taki przed laty raz święty w Assyżu
lecz tak dawno, że ludzie zapomnieli o nim.
On kazał z wysokości naszych w życiu krzyżów
nie pamiętać o krzywdzie i swą głowę skłonić.

On kazał być nam dobrym i bratem dla wszystkich
jak był bratem dla piaszków i dla ryb w Rimini,
wszak człowiek człowiekowi naprawdę jest bliski
przez ten sam głód miłości i te same winy.

A cóż jest dziś przy Tobie, któryś zdobył miłość
wyższą niż nasze oczy zdolne to zobaczyć,
to że się kiedyś, kiedyś — o Boże — zgrzeszyło? —
Ciębie to nie uprzedza. Nic to dziś nie znaczy.

Dzisiaj tylko to ważne, by słowo miłości
co o wszystkim stanowi i wszystko jednocy
umieć innym powiedzieć z uśmiechem, najprościej
i tak dobrze, tak jasno innym patrzeć w oczy.

I tak cicho za Tobą pójść bez słów, frazesów
i choć troszkę to zdziwiać, by już lepiej było
na tym świecie, gdzie w źródle i u jego kresu
powinna być dla wszystkich — jedna, wielka Miłość.

Choć Cię nie zna kalendarz — to jednak istniejesz
i choć Kościół Cię nie wziął — to módl się za nami
i w swojej Ewangelii mów nam tę nadzieję
że wreszcie błysnie światło ponad ciemnościami.

Śmierć przyjaciela

Nieprawda, przyjaciel nie umiera,
przeszedł w szeregu tylko już być —
Już Ci nie powie: wojna, cholera,
chodź ze mną śpiewać i kląć i bić.

Nie będzie serią głuchą wraz z Tobą
płacił za noce tęsknot, za ból —
Poległ. Lecz ciągle jest tutaj, obok
żyje, choć zginął od wrogich kuli.

Przyjaźń wciąż żyje i trwa jak ziemia.
Odszedł na chwilę. Lecz wciąż gdzieś jest
Jest może w niebie, lub go tam nie ma,
lecz nie to ważne, ach nie to, nie.

Ważne to tylko, że chociaż poległ
dziś Twój przyjaciel (ach, psiakrew, padł)
— wszystko co było w żołnierskiej doli
pomiędzy wami wciąż będzie trwać!

Nikt na to jeszcze nic nie poradził
że trzeba umrzeć kiedyś i gdzieś:
nas coraz mniej jest, lecz mniej i gadzin
co chciały zdławić w nas wolną pieśń.

Straszna jest wojna i źli są ludzie
i ciężko płucem oddychać już —
jednak to prawda, nie bujda złudzeń
że słońce błyska po nocach burz.

Że lepiej wolnym być wobec śmierci
a nie w niewoli spokoju chcieć —
życiem jest tylko pieśń wolna w piersi
a nie jest śmiercią za wolność śmierć.

Niech że się w Tobie Twa złość podwoi
o jego zemstę i jego gniew ...
Wola i siła muskułów Twoich
za obu płacić muszą, psiakrew!

A kiedyś znowu on, Twój przyjaciel
stanie przy Tobie i zacznie żyć
to tak Ci powie: «Pamiętasz, bracie
jakeśmy szwaba chodzili bić?»

«Jakeśmy pili, śpiewali, kleli
jak wszyscy tłumki, trącał je pies,
jak ranni byli i jak gineli
by Polska była, ta co dziś jest?»

A Ty mu prawdę tak niezawila
powiesz: «O, bracie, no Bóg tak chciał»
I pomyślicie: «No, trzeba było
no, to zrobilem, com zrobić miał...»

CZEGO NAS UCZY ANGLIA?

Anglia jest wiecznie żywą krynica kultury obywatelskiej.

W tej dziedzinie, tak samo jak w kulturze życia codziennego, niewzruszonym fundamentem są rzeczy najprostsze i najpierwotniejsze. Kultura obywatelska zaczyna się od tak elementarnych objawów społeczeństwa jak: etyka kupiecka, świętość umów prywatno-prawnych, rzetelność pracy, nieprzekupność urzędu, dostojność sądu. Te wszystkie, uznane przez cały świat, posagowe zalety społeczności angielskiej wytwarzają poczucie pewności, obliczalności, niezmiennego ładu w życiu państwowym, i stąd drogocenny kapitał zakładowy boskiego spokoju w duszy obywatela. A stoi to wszystko nie tylko na bogactwie kraju, nie tylko na wielkich obrotach kupców, przyzwoitych płacach urzędników, olbrzymiej cyrkulacji poważnych gazet i ministerialnych pensjach kilkudziesięciu majestatycznych sędziów Anglii. Stoi na czymś więcej, bo na wyrobionym przez wieki i powszechnym w świadomości ogółu poszanowaniu prawa jako zbiorowego tworu wielu generacji narodu. Oczywiście tak organiczny stosunek do prawa rozwinąć się mógł tylko w szczególnych warunkach ciągłości historycznej. Od tysiąca lat blisko nikt obcy nie najechał i nie opanował tej błogosławionej od Boga wyspy.

Z goryczą wspominając, jak zgoła inaczej było u nas, jednak starać się musimy w nowych warunkach naszego bytu państwowego podążać wedle sił za wielkim przykładem angielskim, wytwarzać w umyśle ogółu poczucie ciągłości i stałości stanu prawnego, a zarazem poczucie, że jest to stan nasz naturalny, normalny, przez nas samych wytwarzany i od nas zależny. Winno dojść do tego, by Polak, jak to zawsze czyni Anglik, używał dumnego MY, gdzie dziś używa gderliwego RZĄD, odziedziczonego z czasów niewoli u obcych.

Anglicy, najpraworządniejszy naród na świecie, nie mają właściwie pisanej konstytucji, jeno zespół odwiecznych i wiecznie dalej się rozwijających, a zawsze czczonych zwyczajów prawnych. My stworzyć musimy w duszach naszych na nowo tę niezmąconą prawo-państwowego, co poprzez wielką wyrwę epoki porozbiorowej łączyć będzie naszą nieśmiertelną Konstytucję Trzeciego Maja z ustrojem Polski zmartwychwstałej i snuć się już bez zerwania ku wszelkim dalszym przemianom rozwojowym, jakie czasy jeszcze przyniesie mogą i muszą.

Zadanie to zaiste trudne przy tej głębokiej różnicy między naszymi tragicznymi dziejami, a szczęśliwym losem Anglii. Ale i godne trudu i nieodzowne.

Niemniej trudnym, a niemniej i koniecznym zadaniem będzie naśladowanie drugiej — obok zakorzenionego zmysłu prawnego — wielkiej politycznej zalety Anglików. Przejść ją w nasz charakter narodowy, to znaczy charakter ten przekształcić, samych siebie na innych ludzi wychować, a to ponoć najtrudniejsza rzecz na świecie. Jak obcą ta druga cnota obywatelska

Anglików jest naszej naturze, dowodem tego, że i o nazwę dla niej w zrozumiałych dla naszego ogółu słowach jest trudno. Jeden powie: «Co mi się podoba u Anglików, to ten ich rozumny konserwatyzm». Drugi powie: «Podziwiam u nich tego ducha ciągłego postępu i nieustającej reformy». I obaj będą mieli słuszość. Realizm, liczenie się rzeczywistością i opieranie się na wynikach doświadczenia, stanowi najwybitniejszą cechę umysłowości angielskiej... Ten sam realizm znamienuje także myślenie polityczne.

On każę Anglikowi jednakowo uznawać wartość tego, co długi rozwój historyczny wytworzył i konieczność ciągłych dalszych zmian rozwojowych, bo obie te rzeczy są przez doświadczenia wypróbowane i sprawdzone, i obie są w żywotnym związku z zasadniczymi cechami natury ludzkiej, jaką ona jest i pozostaje. W każdym człowieku tkwi kawałek konserwatysty i kawałek postępowca, tak jak w każdym jest trochę klasyka i trochę romantyka, trochę realisty i trochę idealisty.

W umyśle Anglika jednakowo uznanie obu tych biegunów jako niezmiennych czynników rzeczywistości jest naczelną maksymą wszelkich rozumowań politycznych.

Często się słyszy w Anglii żart, że nie trzeba brać tego zbyt na serio, co jest «tylko polityką» (mere politica). Istotnie, walki polityczne w Anglii mogą sprawiać wrażenie igrzysk sportowych. Jak sporty, rozgrywają się według ścisłych prawideł, skrupulatnie przestrzeganych przez obie strony. Naruszenia tych prawideł nikt się nie dopuści, choćby mu to zapewniło zwycięstwo. W najzawziętszych momentach zmagania się programów wyraźnie chodzi o wygraną danego match'u, a nikomu, śmiało rzecz można, nigdy ani w głowie nie postoi myśl o zupełnym zniszczeniu przeciwnika i starci go z oblicza ziemi. Prawica zarówno jak lewica doskonale wie, że każda z nich zawsze istnieje będzie i żadna nawet nie pragnie, żeby było inaczej; gdyż taki właśnie układ jest kardynalnym warunkiem równowagi społecznej i ciągłości rozwoju, która, jak nie innego, cechuje nowszą historię angielską.

W Anglii przez wiek XIX i pierwsze lata XX-go dokonały się pod względem społecznym i politycznym przemiany epokowe, równające się rewolucjom: dość wymienić wielkie reformy wyborcze lat 1832, 1867, 1884 i 1918, z których pierwsza zmieniła ziemiańskie rządy w Anglii na mieszczańskie, druga i trzecia dała prawo głosowania masom robotniczym, a czwarta — milionom kobiet. A jednak przez całe sto kilkadziesiąt lat od wybuchu rewolucji francuskiej aż do rewolucji bolszewickiej i po niej, burzę rewolucyjną Europy kontynentalnej nigdy nie zataręta Anglią. Stała się klasycznym krajem dokonywania przemian politycznych w drodze ewolucyjnej i ustawodawczej, nie przewrotowej i bezprawnej. Czy taki stan rzeczy nie powinien być szczytem marzeń każdego społeczeństwa, prowadzącego normalne życie państwowe? A wynika on nie z czego

innego, jak z powszechnego zrozumienia faktu, że dążności zachowawcze i dążności postępowe muszą istnieć obok siebie, jako równouprawnione i jednakowo potrzebne. Życie angielskie jest jednym ciągłym wielkim kompromisem, i kompromis uważany jest przez każdego rozsądnego Anglika za ostatni wyraz praktycznej mądrości politycznej.

Kompromisowość polityki Anglików — reformatorska postępowość ich konserwatystów — decyduje o jednej, najmilszej ze wszystkich, najkulturalniejszej właściwości ich życia politycznego. Tą jest uprzejmość, bezwzględnie obowiązująca w angielskiej polemice politycznej.

Tę cechę my Polacy odczuwamy jako najbardziej biegunowe przeciwieństwo między życiem politycznym angielskim i naszym...

Udział w życiu politycznym narodu — a to z konieczności znaczy przynależność do jakiegoś stronnictwa! — jest powszechnie i bez sprzeciwu uznawany jako elementarny obowiązek bytu społecznego. Nie ma w Anglii tego, tak rozpowszechnionego w krajach Europy kontynentalnej, niezdrowego objawu, jakim jest indyferentyzm polityczny ludzi najświatlejszych. A dzięki powszechnemu w polityce udziałowi nie ma w niej tego wyjątkowego rozpanoszenia żywiołów ograniczonych i zaciekrzewionych lub egoistycznie sprytnych i cynicznych, które u nas nadaje życiu politycznemu specyficzną cechę i sprawia, że ludzie doborowi unikają tej dziedziny, jak jakiegoś zapowietrzonego trzęsawiska.

Co się zaś dotyczy kurtuazji politycznej, to dochodzi ona w Anglii nawet do stopnia, który postronnemu obserwatorowi może się wprost wydać przesadnym. Uśmiechnąć się było można, gdy w r. 1922 gazety podniosły żądanie, żeby w parlamencie już nie używano wyrażenia «mój czcigodny przyjaciel», mówiąc o prze-

ciwniku politycznym, tylko by mówiono «czcigodny poseł z przeciwka», bo inaczej wyborcy pomyślą, że ich wysłannicy o najżywotniejsze punkty programów partyjnych wcale poważnie nie wzięli. Ale choć przesadna kurtuazja może czasem tracić brakiem powagi, lub obłąkać, ma jednak ten dobroczynny skutek, że uwaga działaczy ześrodkowuje się na meritum sprawy, a nie na jaskrawych efektach demagogicznych. Kurtuazja wytworzyła w kraju, a szczególnie w parlamencie pewną ustaloną atmosferę...

... powietrza angielskiego nie zatrują jadem niepotrzebnych i bezpłodnych waśni te dwa jednakowo szkodliwe czynniki, którymi w innych krajach są zarówno klerykalizm jak antyklerykalizm. Nawet słów tych nie zna język angielski.

Żaden duchowny jakiegokolwiek wyznania nie może zasiadać w Izbie Gmin. Niech nikt nie myśli, że to umniejsza znaczenie czynników religijnych dla życia społecznego; przeciwnie, podnosi tylko godność religii, nie szargając jej po arenie codziennych walk partyjnych...

Jeszcze jedna właściwość techniki politycznej angielskiej zasługuje na pobieżne chociażby wspomnienie, jako jeden więcej dobroczynny wynik wzajemnego zrozumienia i praktyczno-pojednawczego wobec siebie stanowiska zachowawczych i postępowych odłamów opinii. Tak samo mianowicie, jak Anglia jest wolna od zatrutych i niedorzecznych inwektyw zarówno klerykałów, jak antyklerykałów, tak samo wolne jest także z jednej strony od niszczyielskiego, doktrynerskiego fanatyzmu utopistów, z drugiej od biurokratycznego rutynierstwa i administracyjnej tyranii zakamieniałych zwolenników autorytetu. Nie ma tam naogół ani anarchicznego warcholstwa, ani reakcjonerskiego autokratyzmu.

Dr Roman Dybowski

MUZYKA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Pod każdym względem młoda stosunkowo muzyka w Stanach Zjednoczonych osiągnęła obecnie znaczny stopień dojrzałości. Czy to chodzi o koncerty symfoniczne, opery, znajomość i popularność muzyki i jej zagadnień w szerokich masach, czy też o wkład kompozytorów amerykańskich do ogólnego dorobku światowego — nie ma wogóle porównania np. z okresem tamtej wojny, co nie zawsze dałoby się powiedzieć o krajach europejskich; przeżywających niejednokrotnie dużą dekadencję. Proces tworzenia kultury amerykańskiej jest ściśle związany z krzepnięciem narodu amerykańskiego, złożonego z wielu białych i kolorowych emigracji z innych kontynentów. Oczywiście na zjawiska amerykańskie, a specjalnie dotyczące zagadnień kultury, która nie buduje się na przestrzeni kilku czy kilkunastu lat, my Europejczycy patrzymy z dużą powściągliwością. Jeszcze na długo określenie «amerykański» (o ile nie dotyczy zjawisk i rzeczy ściśle technicznych) pozostanie synonimem pewnego dorobkiewiczostwa, które efektami zewnętrznymi chce zasłonić pewne braki treści, przeżycia czy smaku.

Jeszcze jedno zastrzeżenie: autor tego artykułu nie jest fachowcem, lubi tylko muzykę. Dlatego też podziar zjawisk i uwzględnienie momentów niewiele ze ścisłym pojęciem muzyki mających, będzie właśnie trochę «amerykański» ze względu na charakter artykułu i na źródła, z jakich autor korzysta.

W stosunku do ubiegłej wojny ilość wielkich orkiestr symfonicznych wzrosła dwukrotnie. Cztery z nich, orkiestry symfoniczne Bostonu, Filadelfii i Nowego Jorku, a także National Broadcasting Company, zaliczają się do najlepszych orkiestr świata. W ciągu ostatnich dwudziestu lat transmisje radiowe podają dzień w dzień milionom słuchaczy nie tylko amerykańskich muzykę wszystkich rodzajów, od operowej i klasycznej do jazzowej. Stworzono trzy nowe olbrzymie konserwatoria: Fundację Juilland, Instytut Curtis'a i Szkołę Eastman. Stany Zjednoczone udzieliły gościny wielu słynnym muzykom przybyłym z Europy, żeby wymienić tylko Igora Strawińskiego, Dariusza Milhauda, Arnolda Schonberga, Wandę Landowską i Brunona Waltera, którzy znacznie

przyczynili się do podniesienia poziomu i rozszerzenia zasięgu muzyki w Ameryce.

Rzeczywiście wielu znanych kompozytorów, wirtuozów i śpiewaków znajduje się obecnie w Stanach Zjednoczonych. W obecnym sezonie zimowym publiczność nowojorska ma możliwość wyboru między koncertami wszystkich rodzajów. Może ona słyszeć takie śpiewaczki jak Lotte Lehmann, Grace Moore albo Marian Anderson, takich pianistów jak Artur Schnabel, Włodzimierz Horowitz, Artur Schnabel, a skrzypków jak Fritz Kreisler i Józef Szigeti. Kwartet «Budapeszt», «Pro arte» albo Buscha grają może nawet dziś wieczór. Jeżeli ktoś inny znowu wołałby muzykę chóralną, to zupełnie możliwe, że złapie dziś w radiu czarny chór Hall Johnson'a.

Artur Toscanini dyryguje orkiestrą National Broadcasting Company i Chórem Westminster'skim w Nowym Jorku. Dał on pierwszą audycję «Siódmej Symfonii» Szostakowicza, najwybitniejszego doby wojennej muzyki sowieckiego. W Bostonie Sergiusz Kusewicz przedstawił publiczności «Portret Lincolna», dzieła Amerykanina Aarona Coplanda. Leopold Stokowski wprowadził do Metropolitanu (teatr i opera w Nowym Jorku) «Pamięć według św. Mateusza» Bacha. Do najbardziej znanych o renomie światowej należy i dyrygent Artur Rodziński, Polak, tak jak i Stokowski. Inni znani dyrygenci to: Alfred Wallenstein, Bruno Walter i André Kostelanetz.

W piętnastu wielkich miastach można słyszeć pierwszorzędne orkiestry symfoniczne. Wogóle istnieje w Stanach Zjednoczonych przeszło 250 stałych orkiestr symfonicznych. Od założenia pierwszego Towarzystwa Muzycznego w Nowym Jorku, a mija od tej chwili sto lat, orkiestry utrzymują się z samej sprzedaży biletów i darów prywatnych. Świadczy to, jeśli nie o dużej kulturze muzycznej, to przynajmniej o dużej popularności zespołów i ich koncertów. Niektóre z orkiestr zarabiają jeszcze transmisjami radiowymi i nagrywaniami na płyty gramofonowe. (W samym tylko roku 1941-ym sprzedano w Ameryce 100 milionów płyt). Programy koncertów symfonicznych świadczą o guście publiczności. W sezonie 1942-43 najczęściej granymi byli: Beethoven, Wagner, Brahms, Czajkowski, Mozart, Bach, Debussy, Ravel i Szostakowicz. W ogólnym zestawieniu innych programów widać, że coraz częściej grani są kompozytorowie amerykańscy. Oprócz zawodowych orkiestr istnieje około 30.000 orkiestr szkolnych i uniwersyteckich. Właśnie wybierając między uczniami i studentami, Leopold Stokowski zorganizował słynną Youth Orchestra (Orkiestrę Młodych), której tournée po państwach Ameryki Południowej w 1941 r. było wielką wydarzeniem artystycznym. Gdy na czas kanikuły zamyka się wielkie sale koncertowe, muzykę symfoniczną (jak zresztą operę i operetkę) można słyszeć w Stanach Zjednoczonych na wolnym powietrzu, w amfiteatrach mogących pomieścić po dziesięć, a często i dwadzieścia tysięcy ludzi. Np. w dorocznym festiwalu bachowskim w Bethlehem (Pensylwania) czy w Stockbridge biorą udział tysiące widzów.

Największą operą amerykańską jest «Metropolitan Opera Company». Z artystów europejskich, śpiewają w niej Lili Pons, Jarmila Novotná, Lauritz Melchior i Giovanini Martinelli. Ze śpiewaków amerykańskich jest najpopularniejszy Lawrence Tibbett, wspaniały baryton, znany w Europie z kina i radia. Dwa dalsze nazwiska to: Helena Traubel i Richard Crooks. Do 400.000 widzów tej opery (sezon w Nowym Jorku i tournée arty-

stycz po U.S.A.) trzeba dodać miliony słuchaczy transmisji operowych wielu stacji amerykańskich. Poza Nowym Jorkiem utrzymują własną operę Filadelfia, Cincinnati, St. Louis, San Francisco i San Car.o. Ta ostatnia daje przedstawienia popularne po wszystkich miastach kraju.

Osiągnięcia amerykańskie w dziedzinie muzyki i jej popularyzacji są niezaprzeczenie poważne. Wydawane jednak na eksport broszury propagandowe i czasopisma, do zjawisk kultury muzycznej zaliczają wszystko: i operę, i jazz, i recitale Chopinowskie, i wojskowe zespoły fanfarowe, muzykę kościelną, rewię w boite de nuit, koncert Stokowskiego i swing czy boogie-wogie, niejednokrotnie zupełnie wynaturzony dla smaku europejskiego.

Ale trzeba z nich wyłowić pewne pozycje wartościowe, odrzucić tani blichtr propagandy wujka Sama i dopiero sobie szkicować, co reprezentują Stany Zjednoczone w muzyce. Bo bardzo ładnie jest, że cztery miliony uczniów grają w orkiestrach, ale nie bardzo ładnie jest, że grają m. in. fokstrotowe arrangements Chopina. Nie chodzi o cyfry, chodzi o jakość. Z drugiej strony widzimy duże osiągnięcia: mimo wojny, mimo powołania wielu ludzi do wojska, ani jedna orkiestra nie przestała istnieć, a ilość ich koncertów wzrosła dwukrotnie. Mało wspólnego z dorobkiem mają mechaniczne fonografy, które statystyka z dumą określa na 600.000, a które najczęściej są po spelunkach i kawiarniach, czy i w miejscach nie bardzo nadających się do słuchania, a wogóle z kulturą, nie tylko muzyczną, mało mających wspólnego. Ale te same fonografy (pick up) w fabrykach, umilające pracę robotnikom, to duży postęp nawet społeczny.

Wpływ i pomoc państwa i społeczeństwa na rozszerzanie kultury muzycznej są tak znaczne, jak chyba nigdzie indziej. Państwo utrzymuje liczne «obozy muzyczne», gdzie na wakacjach uczniowie wyższych zakładów naukowych spędzają czas na poznawaniu i wykonywaniu muzyki. Takie centrum narodowe dla spraw muzyki stanu Michigan założono już w r. 1928 w Interlocken, następne lata przyniosły dalsze obozy. Różne instytucje prywatne, jak i państwo, udzielają stypendiów na wyjazd do Paryża, Rzymu i Londynu, udzielają zasiłków muzykom, by już bez troski o byt, mogli spokojnie pracować. Różne fundacje udzielają premii i nagród za skomponowane utwory. Nawet w czasie wojny istnieje znaczna ilość stypendystów, którzy nie służą w wojsku i wyjechali za granicę dla kontynuowania bądź studiów, bądź rozpoczętych prac. Istnieją liczne biblioteki partytur i zbiory dzieł o muzyce, a «Library of Congress» jest większą i lepiej zaopatrzoną niż zbiory muzyczne «British Museum» i «Staatsbibliothek» w Berlinie. Istnieją w bibliotekach dużych miast specjalne pracownie muzyczne, gdzie poza biografiami wielkich muzyków i dziełami technicznymi można znaleźć partytury i wykonywać je lub usłyszeć z płyt. Istnieją specjaliści, którzy po całym kraju szperają w poszukiwaniu dokumentów i materiałów, mówiących o folklorze amerykańskim.

Pewnie, że folklor jest to kwestia lat i lat. Ale już od dość dawna można obserwować proces tworzenia się nowego folkloru amerykańskiego. Przybywając do Stanów Zjednoczonych, koloniści brytyjscy przywozili ze sobą swe stare pieśni. Murzyni przynieśli swą pierwotną muzykę z Afryki. Wpływy hiszpańskie zaznaczają się w Kalifornii i Nowym Meksyku. Na północy, na pograniczu Kanady wśród «acadins» jeszcze dziś śpiewa

się bergerettes, aubades i nokturny francuskie z XIV stulecia przywiezione później. Połączenie francuskiego, hiszpańskiego i języka czarnych dało zabawne piosenki kreolskie. W Nowym Orleanie (gdzie później narodził się jazz) emigranci niemieccy z Nadrenii przywieźli swe pieśni śpiewane a capella. Węgrzy swe czardasze, Rosjanie romanse, Polacy swą dziarskość i rzewność ludowych me'odyj, Włosi swe canzonetty, a Skandynawowie swą muzykę kościelną, a nawet w pieśniach rybaków Nowej Kaledonii dźwięczy nuta ich przodków Portugalczyków. Wszystko to w połączeniu ze starymi pieśniami indyjskimi daje folklor amerykański, daje coraz bardziej krystalizujący się pierwiastek amerykański, często odnajdowany w utworach nowych już, amerykańskich kompozytorów, lub w piosenkach śpiewanych sobie po pracy przez robotników, kowboyów, górników i inn. Murzyni najczęściej śpiewają romanse, tak nieodłącznie związane z minstre'ami XIX w. (jakich było pełno wówczas). Stephen Forster był najbardziej znanym kompozytorem tych tęsknych romansów jak «Old Kentucky Home» lub «Swanee River» śpiewanych do dziś dnia.

Wszyscy Amerykanie, czy urodzeni w Stanach czy naturalizowani, dużo zawdzięczają swemu pochodzeniu europejskiemu. Jednak już od jakichś pięćdziesięciu lat większość kompozytorów zaczyna szukać natchnienia w krajobrazie, życiu i historii swego kraju; «Retour à la terre» datuje się w Stanach Zjednoczonych od początku tego stulecia. W wieku XIX Amerykanie myśleli tylko o przyswojeniu sobie kultury europejskiej. Nawet pierwsza opera amerykańska «Mona» Horacego Parkera, ucznia Johna Paine, twórcy Szkoły Nowoangielskiej, nosi jeszcze cechy muzyki europejskiej. Dopiero w 1893 r. Antoni Dworak (Czech) stworzył nowe horyzonty dla Amerykanów. Będąc tylko krótki okres czasu w Stanach Zjednoczonych, skomponował «Symfonię Nowego Świata», wyrażając uczucia i wrażenia, jakich tam doznał i uwzględniając motywy pieśni murzyńskich i indiańskich.

Rezultat zelektryzował Amerykanów, którzy dopiero wtedy zaczęli słyszeć muzykę swego kraju. Zwracają się więc ku Indianom, autochtonom tej ziemi i Edgar Mac Dowell pisze wówczas «Suitę indiańską» na orkiestrę, a Charles Wakefield operę «Shanewis». Dużo później w 1926 r. Frederik Jacobi pisze «Kwartet na tematy indiańskie», grany później w wielu stolicach Europy.

Inni zwracają się ku czarnym. Henry Franklin Gilbert pisze balet «Place Kongo», John Powell komponuje «Czarną rapsodię», a Nathaniel Dett wzoruje swą «Misję w Moise» na słynnych śpiewach murzyńskich «Negro spiritualis».

Biorąc przykład z Europejczyków, którzy jak Debussy, Ravel i Strawiński uwzględniali momenty jazzowe w swych kompozycjach (Sonata na fortepian i skrzypce Rave'a, Ragtime na fortepian i Suita ragtime na zmniejszoną orkiestrę Strawińskiego i utwory Czecha Krenka) tworzą Amerykanie specjalny rodzaj jazzu klasycznego. Będą to: «Daniel Jazz» i «Création» L. Grünberga, «Zarys muzyki nowoczesnej» P. Whitemana i «Rapsody in blue» G. Gershwina, narobiły dużo szumu i stanowią pewną epokę. Później A. Copland pisze «Jazz Concerto» a Burlingham, Hill de Harvard i L. Sowerby usiłują jazzowi nadać formę symfoniczną. Dziś charakter synkopy jazzowej narzuca się w wielu «scherzo» na orkiestrę. Harris, typowy symfonista amerykański opracowuje całą serię wariacji na temat znanej pieśni z woj-

ny cywilnej z 1863 r. «Johnny wraca do domu». W wielu dziełach powszechnie uznawanego za najbardziej wykwintnego kompozytora Virgil Tnomsona często tu i owazie odczuć można wpływy i fragmenty hymnów z Połunania i pieśń ludowych.

Coraz częściej w dziełach kompozytorów pojawia się Ameryka jako tło. Jedną z legend amerykańskich natchniera Duglasa Moore do opery «Diabeł i Daniel Webster». Akcja «Cesarza Jonesa» (Grünberg) dzieje się na Antyllach, a «Merry Mount (Hanson) w Ameryce w okresie kolonizacji. Życie robotników metalowców odbija się w «Cradie-willroch» (Biltstein).

Obecnie wszystkie balety i zespoły choreograficzne coraz częściej szukają już tylko tematów amerykańskich. Dzieła Coplanda, Bowlesa i Tompsona (tego ostatniego parodiującego w swym balecie Filling Station automobilizm w U.S.A.) świadczą o tym najwyraźniej. Wielu młodych kompozytorów usiłuje zrobić to dla Ameryki, co dla Finlandii zrobił Sibelius. Schuman komponuje chóry do wierszy wielkiego poety Walta Whitmana. Henry Cowell opowiada w swych utworach podróże krajoznawcze. Emerson Whithorne opowiada o życiu wielkich miast amerykańskich («Noc i dzień Nowego Yorku»), Randall Thompson przetyka swe kompozycje satyrą na słabości i małości swego kraju, a Charles Ives opisuje życie swej rodzinnej Nowej Anglii, z jego blaskami i cieniami.

Amerykańska muzyka poważna przekracza ocean. «Symfonie» Coplanda i jego «Muzyka dla teatru» grane są i w Anglii i w Ameryce Południowej. Hansona i Carpantera znają w wielu miastach Europy. Symfonie i sonaty Rogera Lessions grane były na festiwalach w Warszawie, Wiedniu, Paryżu i gdzie indziej jeszcze. Trzej miodzi Amerykanie Ornstein, Antheil i Cowell długo byli sensacją Europy: pierwszy — swym «Tańcem Dzikiego», drugi swymi szesnastu pianinami mechanicznymi, wykonywującymi w Paryżu jego «Balet Mechaniczny», a trzeci swą dziwną techniką gry na fortepianie, wymagającą od odtwórców jego dzieł.

Europejskie stacje radiowe coraz częściej uwzględniają w swych programach muzykę amerykańską. «Symfonia afrykańsko-amerykańska» czarnego kompozytora Williama Grant Stilla i «Trzecia Symfonia» Roy Harrisa, jednego z najbardziej znanych kompozytorów muzyki orkiestrowej — grane były w Londynie w British Broadcasting Corporation. W ciągu 1943 r. grano w Londynie z dużym sukcesem «Promenadę» i «Trzecią Symfonię» młodego kompozytora Williama Schumana, laureata nagrody muzycznej Pulitzera, «Concerto en fa» Gershwina i inne utwory różnych kompozytorów amerykańskich.

Trudno byłoby określić różnicę między muzyką Europy a Ameryki, bo różnice są trudno uchwytne, ale obserwujemy dziwne zjawisko, że rzeczy Ernesta Blocha i Charles Loeffera są uważane obecnie jako amerykańskie, podczas gdy utwory kompozytorów amerykańskich jak opera «Macbeth» i «Schelomo» zostały zaanektowane przez Europę.

Na zakończenie trzeba jeszcze wspomnieć o roli, jaką odgrywa radio w dziedzinie popularyzacji muzyki. Stany Zjednoczone posiadają obecnie około 900 stacji radiowych, czyli jedną trzecią z całego świata. W każdym domu jest przynajmniej jeden aparat odbiorczy. Stacje nadawcze działają od 17 do 24 godzin na dobę. Większość programów muzycznych oczywiście poświęcona jest muzyce lekkiej, lecz wiele z nich jest zastrzeżonych dla utworów o charakterze poważniejszym. Czte-

ry wielkie koncerty radiowe i dwadzieścia pięć mniejszych o charakterze regionalnym sprawiają, że nie ma żadnej manifestacji muzycznej, która nie byłaby transmitowana na falach eteru. Cotygodniowe występy orkiestry filharmonicznej Metropolitanu nowojorskiego skupiają za każdym razem przy głośnikach co najmniej 12 milionów słuchaczy. W ciągu ostatnich lat wiele stacji radiowych utworzyło własne orkiestry symfoniczne.

Istnieją też specjalne programy radiowe dla szkół i

wojska, będącego nawet na innych kontynentach, dla robotników (w czasie pracy) i audycje uwzględniające wszelkie rodzaje muzyki.

Już dzisiaj, mimo wojny, myślą Stany Zjednoczone o muzyce jutra. Możemy śmiało oczekiwać od nich nowych jeszcze większych osiągnięć, a od kompozytorów amerykańskich nowych jeszcze większych pozycji o zasięgu muzyki ogólno-światowej.

Jerzy Witkowski

Z teki materiałów do obchodów i uroczystości

J. Al. Gałuszka

Kościuszcze

*Nie tym Tyś wielki, Wodzu z pod Racławic,
żeś szablą kreślił swej Ojczyzny imię,
żeś przez Cię błysło, jak widmo olbrzymie
we krwi swych synów, w zygzakach błyskawic.*

*Nie tym Tyś wielki, że ono gasnące
na Twoich ustach, jak talizman zgasło,
bo tych, co imię to mieli za hasło,
w godzinę śmierci — tych było tysiące...*

*Aleś tym wielki, żeś w kos świetlnej łunie
z chłopskiego serca skrzesał isker krocie,
żeś wykuł w duszach, w tym najszczerzym złocie
miłość Ojczyzny we łzach i piorunie...*

*Aleś tym wielki, żeś duszę swą jasną
zapalił w Polsce, jak złotą pochodnię,
co już wiek płonie nad nami pogodnie
dla dusz znękanych, dla serc, które gasną...*

*Że dziś już surmy wieszczą zmartwychwstanie,
i że się gromy o pierś naszą kruszą,
że sercem jednym, żeśmy jedną duszą —
to za Twą sprawą — Ty wodzu w sukmanie!*

Artur Śliwiński

Kościuszk o

Marzyła się Kościuszcze Polska wolna, ludowa, republikańska, siłami ludu broniona i na siłach ludu, jak na opoce z granitu, oparta.

Obozując pod Połańcem, nieustannie poprawą doli ludu był zajęty.

W liście swoim z dnia 12 maja do Franciszka Sapięhy pisał: «...Pamiętaj, że wojna nasza ma swój szczególny charakter, który dobrze pojąć należy: jej pomyślność zasadza się najwięcej na upowszechnieniu zapalu i na uzbrojeniu generalnym wszystkich ziemi naszej mieszkańców. Do tego wzbudzić trzeba miłość kraju w tych, którzy dotąd nie wiedzieli nawet, że Ojczyznę mają. Postawić odrazu 100.000 wojska liniowego jest trudno w naszych okolicznościach, lecz postawić masę 300.000-czną łatwo przyjdzie, byle szczerze chcieli ziemianie i księża, którym lud powodować się daje. Wiem ja, że wojskowi do zwyczajnej metody w prowadzeniu wojny przywiązani... znajdować będą co moment trudności w obracaniu sił takowych, ale należy umieć odstrychnąć się czasem od reguł pospoliczych. Kto by uwierzył, że z dwiema kompaniami infanterii i

trzechset tylko ludzi z kosami, w wigilię do obozu zebranymi, złamaliśmy pod Racławicami piechotę moskiewską... I dlatego lud do sprawy publicznej przywiązać należy...»

Na uwagę zasługuje odezwa Kościuszki, również z obozu pod Połańcem, do obywateli brzeskich i kobryńskich wydana, a wskazująca zasadę, na której oparty winien być stosunek z Rusinami. Komisja Porządkowa tam utworzona, powołała do swego grona osiem osób «obrazu grecko-orientalnego».

Rozradowało się serce Kościuszki.

«Wybór od was uczyniony — pisał w swej odezwie — okazuje, jak z duchem obywatelskim zdrową politykę łączyć umiecie. Starajcie się, aby drugie powiaty, gdzie się dosyć ludu tego wyznania znajduje, naśladowały przeźorność waszą. Tym sposobem lud, fanatyzmem od Moskwy zwodzony, do Ojczyzny przywiążecie. Będzie on życzliwszy swoim rodakom, gdy obaczy, że z nim po bratersku postępują, że go obok kładą, i że mu do pierwszych magistratur, jako współobywatelom, wstęp otwierają. Zapewniacie wszystkich grecko-orientalnych imieniem moim,

że wszelkie swobody, którymi wolność pozwala cieszyć się ludziom, będą mieć wspólnie z nami i że konsystorz ich z całą władzą, podług praw sejmu konstytucyjnego, jest powrócony. Niechaj użyją tego wpływu, który mieć mogą do ludu swego wyznania na przekonanie ich, że my, wal-

cząc o wolność, wszystkich ziemi naszej mieszkańców uszczęśliwić pragniemy».

Głosił więc Kościuszko równość praw bez względu na wyznanie, a do uszczęśliwienia wszystkich mieszkańców ziemi polskiej na jedną chwilę dężyć nie przestawał.

M. Konopnicka

Przysięga

*Na krakowskim rynku
Wszystkie dzwony biją,
Cisną się mieszczańcy
Z wyciągniętą szyją.*

*Na krakowskim rynku,
Tam ludu gromada,
Tadeusz Kościuszko
Dziś przysięgę składa.*

*Zagrzmiały okrzyki,
Jak tysięczne działa...
Swego bohatera
Polska wita cała!*

*Wyszedł Pan Kościuszko
W krakowskiej sukmanie,
Odkrył jasne czoło
Na to powitanie.*

*Odkrył jasne czoło,
Kłęknął na kolana:
Ślubuję Ci życie,
Ojczyzno kochana!*

*Ślubuję ci życie,
Ślubuję ci duszę,
Za Bożą pomocą,
Wolność wrócić muszę!*

*Nie stoję tu w srebrze,
Nie stoję tu w złocie,*

*Lecz w pogardzie śmierci,
W staropolskiej cnocie!*

*A mówił te słowa
W tak ogromnej ciszy,
Zdało się, że Pan Bóg
Tę przysięgę słyszy!*

*Zapłakał, zaszlochał
Naród dookoła...
Wstał Kościuszko, wstrząsnął
Krakuską u czoła.*

*Zobłysła mu w rękę
Szabla poświęcona:
— Niech żyje — zawołał —
Litwa i Korona!*

*I wzniosł ją oburącz
W to jasne zaranie:
— Ogłaszam przed niebem,
Narodu powstanie!*

*A głosy buchnęły,
Wskroś rynku i grodu:
— Niech żyje Kościuszko,
Naczelnik Narodu!*

*Ej, byłaż to chwila
I święta i Boża...
Cała Polska drgnęła,
Od morza — do morza!*

Pieśń Powstania Kościuszkowskiego

*W obliczu Boga krzywda nam się stała,
w bliczu Boga — cierpi Polska cała.
Pobitych synów płacze matka droga,
W obliczu Boga.*

*W obliczu Boga wznosimy sztandary,
W obliczu Boga bronić będziemy wiary.*

*Bronić będziemy ojczystego proga,
W obliczu Boga.*

*W obliczu Boga idziemy na boje,
W obliczu Boga krew dajem i znoje.
Albo ginimy, lub zwyciężym wroga
W obliczu Boga.*

Roman Fajans we Francji

Na terenie Francji bawił ostatnio p. Roman Fajans, polski korespondent wojenny przy Armii Polskiej „Wschód” i m. in. w Lille, Paryżu, Lyonie, Villars de Lans, Grenoble i Jarrie Vizille wygłosił liczne prelekcje i pogadanki w języku polskim i francuskim o bohater-skiej epopei wojska polskiego w Rosji, które przez Iran, Irak, Palestynę i Egipt przyjechało do Włoch, gdzie bo-jami o Monte-Cassino i Ankonę okryło się nieśmiertel-ną sławą.

Roman Fajans należy bezsprzecznie do klasy naj-lepszych i najbardziej wnikliwych reporterów europej-skich. Jego książki «Wskrzeszone dzieło Cezarów» (z podróży po Libii), «Na frontach Abisynii», «Hiszpania 1936», «Sylwetki i rozmowy», «W Chinach znowu woj-na» i «Indochiny, kraj i ludzie» są często stawiane za wzór bystrej i bezstronnej obserwacji, tak cennej i rzadkiej w pracy dziennikarskiej. Roman Fajans był korespondentem «Kurierza Warszawskiego», jednego z najstarszych i najpoważniejszych pism krajowych przed 1939 r., a jego znajomość języków, znanych oso-

bistości, problemów międzynarodowych i psychologii poszczególnych narodów, stawia go wysoko i mówi sa-ma za siebie.

Bardzo obfity w program był jego pobyt w Lyonie, gdzie poza piękną konferencją dla Polaków w sali ogniska Y.M.C.A. wygłosił konferencję dla Francuzów w sali Bourse du Commerce, pogadankę radiową i kon-ferencję dla miejscowej prasy, a ponadto oowowiadał o Armii Polskiej na regionalnym zjeździe nauczycielstwa polskiego z Południowej Francji. W miejscowej prasie polskiej i francuskiej pojawiły się na ten temat liczne notatki i sprawozdania.

Szczególnie miły jest, skromny i bezpośredni, wszel-kiego efekciarstwa literackiego pozbawiony sposób przemawiania Romana Fajansa, który posługuje się zda-niami krótkimi, jędnymi i dobrze wartościowymi określeniami, a który na długo pozostanie w pamięci przez swe piękne konferencje i swą skromną miłą syl-wetkę.

30 miesięcy z Armią Polską „Wschód”

Na innym miejscu piszę o Romanie Fajansie i jego serii konferencji we Francji. Miałem możność słyszeć go dwa razy w Lyonie: raz w konferencji dla Polaków, drugi raz dla Francuzów. Nie wiem, czy w wierny spo-sób umiałbym oddać to, co wyrażone w pięknej i zwiez-łej polszczyźnie, tak barwnie malującej i dokładnie uzmysławiającej tragizm wielu sytuacji — na ekranie własnych odczuć, przeżyć i wzruszeń ujrzałem.

Jest to krwią i znojem, czasem uśmiechem żołnier-skim, a zawsze głęboką troską o los Polski i najbliż-szych pisana epopea Armii Polskiej Wschód, która ba-gnetami rąbie drogę do Wolnej Polski.

Armia ta powstała w Z.S.S.R. na mocy układu Sikor-ski-Majski z dnia 3. VII. 1941 i na mocy zawartej w parę dni później polsko-sowieckiej umowy wojskowej — z byłych jeńców wrześnieowych (po 17. IX. 39) i ze-słańców cywilnych z 40 i 41 r. Jeńców tych — oficerów, podoficerów i żołnierzy i zesłańców, wraz z kobietami, dziećmi i starcami było grubo ponad milion.

W tragiczną rzeczywistość obozów jenieckich i osied-lisk cywilnych, rozrzuconych po bezmiernych tajgach Syberii czy stepach Kazakstanu, gdzie w opłakanych warunkach wegetowali Polacy, wdarta się wieść o ukła-dzie Majski-Sikorski. Oznaczało to koniec męki, ozna-czało to nadzieję. Jednak w Rosji nic nie dzieje się szy-bko i wszędzie jest bezmiernie daleko. Polską rzeczy-wistość urzekło magiczne słowo Buzułuk, nazwa mias-teczka nad Wołgą, wyznaczonego na punkt zborny Ar-mii Polskiej. Nagle Polak przestał być jeńcem i zesań-cem, a stawał się sprzymierzeńcem w walce z Niem-cami i miał się cieszyć poparciem i opieką władz so-wieckich. Ale ta pomoc, a właściwie przeszkadzanie, trwała tylko dwa miesiące. Potym Polacy byli zdani tylko na swą samodzielną, zaradną i wytrzymałość.

Więc mimo 30 i 40 stopni mrozu, a często i więcej

ze wszystkich stron Rosji zaczęły ciągnąć rzesze polskie do owego dalekiego wysnionego Buzułuka, który nietyl-ko był drogą do Polski, ale często i ostatnią deską ra-tunku, by nie zginąć i nie zostać na zawsze gdzieś hen w Rosji. Przez mroźne, ośnieżone połacie Rosji z dale-kich zagubionych osad i chutorów, z Sybiru i Kazak-stanu, z Uralu i Kraju Zabajkałskiego, wszelkimi mo-żliwymi i niemożliwymi środkami komunikacji, a naj-częściej pieszo, szły polskie wyczerpane rzesze tysią-cami kilometrów. Szli Polacy lichy odziani i wyczerpani, by w Buzułuku przyodziać buty żołnierskie i znów się poczuć w żołnierskim szeregu, równając.

Wielu z nich, wiele tysięcy, wiele dziesiątków ty-sięcy nie doszło — nikt nie wie i nigdy nikt się nie do-wie, chyba jeden Bóg. Dziesiątki tysięcy nie doszły. Ale dziesiątki tysięcy przecież doszły. Jak jechali i szli i co przeszli — możnaby o tym pisać i pisać. Przyszli tak wyczerpani, że padli na progu nowego życia w Torg-skoje, w Tatiszewie — i ci może byli najnieszczęśliwsi.

Ale nie trzeba sobie wyobrażać, że w Buzułuku już był raj. O nie! Gdy w grudniu 41 r. gen. Sikorski wraz z opierającym się jeszcze na lasce gen. Andersem zrobił przegląd tych wynędzniałych cieni żołnierskich, płakał. Stał przed nim w fufajkach, kubrakach wataowanych i czapach, wynędzniali i wymizerowani więzieniami i chorobami żołnierze, ale stali na baczność. Przy 56 stopniach mrozu żyło się wtedy w namiotach, a jedną jakże niewystarczającą porcją dzieliło się trzech, bo wokół obozu zebrało się 70 tysięcy polskich kobeit i dzieci i przecież trzeba się było z nimi dzielić. Śmierze-ność szczególnie wśród dzieci była duża. Ogólna trage-dia narodowa zawiera w sobie tysiące małych, osobis-tych, z których każda wystarczy, by serce pękło. Na ekranie mych odczuć i wspomnień widziałem tysiące moich siostrzenic Baś, która też jak żołnierz leży

gdzieś w Bucharze. Najstraszniejsze w tej wojnie jest to, że giną w niej dzieci, niewinne i nieświadome zła. Bo też starsi giną, to można jeszcze sobie tłumaczyć, że wojna to konieczność dziejowa, to polityka, to kara, to honor — ale dzieci, dzieci? Tu nie ostoi się nawet najgłębsza wiara. Zobaczcie te dzieci, co ginęły od bomb wrześnieowych, co ginęły z głodu i zimna w jakimś czajchaniu w Bucharze na tyfus, zobaczcie dzieci, co przez lat kilka nie mogą być dziećmi, co nie rozpoznają już pomarańcz, co potem w Teheranie tak boleśnie się dziwiły na widok fig i bananów?

Z wiosną roku 42 z różnych względów zdecydowano przeniesienie obozu do Jajgiru w Uzbekistanie. Tam znowu przy 60 stopniowym upale tyfus takie straszne żniwo zbierał, że w samej tylko 7-mej dywizji położył 4 tysiące ludzi.

Rosja była wtedy w położeniu tragicznym, wręcz katastrofalnym. Niemcy stali u wrót Moskwy, Leningradu i docierali do Kaukazu. W pełnym porozumieniu z władzami sowieckimi, zarówno wojskowymi jak i politycznymi, władze brytyjskie zdecydowały o wywiezieniu Armii Polskiej z Z.S.S.R. do Iranu i Iraku. Armia ta po przeorganizowaniu i odżywieniu miała stanowić zabezpieczenie nafty perskiej i drogi do Indji przed Niemcami, będącymi na Kaukazie. Komunikacja i dowóz sprzętu dla Rosji były wtedy mocno utrudnione, jedynie przez Archangielsk i Ocean Indyjski, nie można więc było myśleć o zaopatrzeniu Armii Polskiej tą drogą. Dlatego też władze sowieckie zgodziły się na wyjazd tych 100.000 Polaków z Z.S.S.R. Jechali więc Polacy sowieckimi wagonami i sowieckimi okrętami. Trzeba ten fakt podkreślić, bo później słyszało się różne kłamstwa o rzekomej dezerecji Polaków, którzy uciekli z Rosji w chwili, gdy jej było ciężko. Transporty dochodziły po portu Pahlevi, gdzie władze brytyjskie, polskie i Indyjski Czerwony Krzyż przygotowały obozy. Dzieci polskie przy opuszczaniu statków fotografowali Anglicy i dziwili się: tyle mówiły te wyjęte żywce z grobu dzieciaki. Jeszcze długo potem w Persji i w Indiach marły one, mimo luksusowych warunków życia i nadzwyczajnej opieki lekarskiej i pielęgniarskiej.

Żołnierze otrzymali wyekwipowanie tropikalne, hełmy, shorty wreszcie po tylu latach dobrą żywność. Kobiety i dzieci otrzymały poraz pierwszy od lat niewidziane mleko. Było w tej odmianie warunków życia, w tym powrocie do normalnego życia coś, co wymykało się z pod kontroli rozsądku i coś, co przerastało zdolność chłonicia, każąc myśleć wciąż kategoriami życia zsyłkowego i jenieckiego. Jako przykład służy opowiedziany przez prelegenta fakt: «W Rosji pracowałem ostatnio w naszej ambasadzie w Kujbyszewie, czyli byłem o niebo w lepszych warunkach niż wszyscy, ale gdy do Pahlevi przyjechałem wraz z ambasadorem Kotem i gdy w mieście na wystawie zobaczyłem koszule jedwabne, kupiłem zaraz jedną, pytając, czy można kupić i więcej. Kupiec z uśmiechem odpowiedział mi, że mogę kupić wie e chce. Kupiłem więc trzy. Gdy wróciłem do obozu, znajomy mój, wydawca «Robotnika» z Warszawy, zaczął mnie prosić, bym jedną mu odstąpił. Nie wierzył, że w sklepie obok może tych pięknych koszul kupić pięć, dziesięć, sto».

Wkrótce wojsko opuściło Persję. Została tam tylko ludność cywilna. Dzieci pojechały do Ispahanu, gdzie je rozmieszczono w pałacach arystokracji perskiej, w precudnych willach i bajkowych ogrodach, w bardziej niż luksusowych warunkach. Wiele dzieci pojechało do Indji, gdzie poszczególni maharadżowie ubiegali się o

zaszczyt goszczenia polskich dzieci. Żołnierze witali to z zadowoleniem, widząc, że polskie niebieskookie blondasy szybko zapominają o piekle, jakie przeszły. I tak jak, według słów prelegenta, żołnierze, opuszczając Persję, czuli niewypowiedzianą wdzięczność dla tego kraju, dla Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, dla Indji — tak samo ciepłem serca i moją radością, po otrzymaniu wiadomości, że Krzysia żyje i chodzi do perskiej szkoły, dziękowali tym Persom, jakich postacię przekazał mi ekran mych wzruszeń i niepokojów i zgorączkowanych snów dawniejszych i obecnych.

Wojsko opuszczało Iran czyli Persję na ciężarówkach drogami zbudowanymi już w czasie wojny przez saperów brytyjskich i hinduskich, jadąc do Bagdadu w Iraku. Droga ta nie należała do najłatwiejszych. Wspięła się wysoko w góry, co było piękne turystycznie, ale niezbyt wygodne, gdy zważy się kurz drogi i upał. Były etapy, że woda dosłownie gotowała się z gorąca. Po górach przyszła bezbrzeżna pustynia. Na szlaku wędrówki wyrastały miasta o dziwacznych nazwach, o których w Polsce nikt nie słyszał dawniej, a teraz stały się polskimi etapami męki. Ale teraz przy strasznym upale, który lał się ukropem z nieba, była przynajmniej pomoc, opieka i wyżywienie. Obóz wyszkoleniowy był w Kanakin. Kto kiedyś o nim słyszał? Stąd, z Iraku, po wielu miesiącach, po przekształceniu niedawnych łachmanów ludzkich w doskonale odżywionego i wyćwiczonego żołnierza Armia Polska Wschód wraz ze słynną Brygadą Karpacką, co to biła się w Libii i Tobruku, a obecnie przyjechała do Iraku — wyruszy przez Pa'estyne, Egipt do Włoch. Która armia, poza jedyną chyba armią Aleksandra Macedońskiego tyle przeszła świata? Ale Polak zewsząd idzie do Wolnej Ojczyzny żołnierskim marszem.

**

Pobyt Polaków na Bliskim i Średnim Wschodzie to jedno pasmo i innych, niemniej niż wojskowe, ważnych sukcesów: propagandowych. Dziś tam, gdzie tylko była grupka Polaków, każde dziecko wie o Polsce i Polakach. Opinia publiczna państw Bliskiego i Średniego Wschodu jest niezwykle przychylnie dla Polaków i ich sprawy nastawiona. O Karpackiej Brygadzie wie w Egipcie każdy brzdąc. Jako przykład niech posłuży fakt: Brygada Karpacka mająca za herb biało-czerwoną chorągiew z zielonym świerkiem pośrodku, jest niezwykle w Egipcie popularna. W półtora roku po opuszczeniu Egiptu przez brygadę przyjechał do Kairu z wizytą premier Libanu. Na jego cześć wywieszono chorągwie o libańskich barwach narodowych, które dziwnym zbiegiem okoliczności są takie same jak polskie, pośrodku zaś posiadają zielony cedr, herb Libanu. Było to w półtora roku po pobycie Polaków i zaczęto właśnie w Kairze prelegenta, pytając z radosnym błyskiem w oczach, czy to prawda, że Brygada Karpacka wraca. Pytały się o to dzieci i bogaci bankierzy kairsy.

Polskie życie kulturalne pulsowało na Wschodzie niezwykle silnie. Szybko zmontowano czołówkę teatralną z Zosią Terné, Lawińskim i Konradem Tomem na czele. Muzykę do rewii pisał zawsze H. Wars. Polski teatr (Fredro, Bałucki, Cwojdzinski) i polska pieśń święciła stałe i zasłużone triumfy. Urządzano wystawy obrazów, pędzla polskich malarzy-żołnierzy. Tak samo dużą popularnością cieszyły się wystawy polskich lalek. W Teheranie polska czołówka teatralna grała 3 miesiące dzień w dzień w ogrodzie, a potem w sali. W Bagdadzie zaproszono czołówkę na inaugurację Teatru Królewskiego, który został zbudowany najnowocześniej

przed paru laty, ale nikt tam nie grał z tej prostej przyczyny, że budując teatr zapomniano o takiej drobnostce... że nie ma zespołu. W Kairze, Aleksandrii, Jerozolimie i Tel-Aviv bilety były wyprzedawane na kilka tygodni naprzód. Na jednym z przedstawień czołówki był obecny pewien reżyser z Hollywood (reżyser słynnej Deanny Darbin), który oświadczył prasie miejscowej, że gotów jest z miejsca cały zespół zaangażować, bo czegoś takiego w życiu nie widział. Była to najlepsza propaganda, bo bezpośrednio uczyła wszystkich o Polsce. Oprócz tego setki tysięcy żołnierzy angielskich, australijskich, nowozelandzkich, indyjskich, kanadyjskich, amerykańskich — przez codzienny kontakt z żołnierzem polskim uczyły się wiedzy o Polsce i Polakach i o polskiej kulturze.

**

Do Włoch przyjechał prelegent w parę dni po bitwie o Monte Cassino, zatrzymany względami służbowymi w Egipcie. Echa jednak tej bitwy były wszędzie tak świeże i wszędzie tak o niej mówiono, że gdzie tylko przyjezdny okazał się Polakiem, przyjmowano go niemal jak bohatera narodowego. W San-Massino spotkał prelegent pewnego porucznika z Karpackiego Pułku Ułanów, gdy go witano właśnie jak bohatera.

Bitwa o Monte Cassino, o miasto i klasztor, nie da się chyba w naszej historii porównać ani z Wiedniem ani z Somo-Sierą. Było to coś straszliwie jedynego w swym rodzaju.

Jeżeli kiedykolwiek możnaby użyć słów Dantego: «Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodziście» — to chyba w tym mieście, a raczej jego zupełnych ruinach. W swych wojenno-dziennikarskich wędrowkach widział prelegent wiele zniszczonych miast: Szanghaj, Toledo i Warszawę, żadne jednak nie zrobiło na nim takiego wrażenia, jak właśnie to. Wszędzie w miastach zniszczonych bombami i pociskami artyleryjskimi można się było zorientować w planie miasta, w jego zarysach, tu było to niemożliwe. Same ruiny. W promieniu kilkunastu kilometrów nie ma żadnej natury, ani źdźbła trawy. Rzeka Rapido zmieniła swój bieg. Wszędzie były tylko kamienie i żelazo. W jednym n.p. dniu przed natarciem dwa tysiące samolotów bombardowało miasto i klasztor bez przerwy. Mimo czteromiesięcznego bombardowania samolotami i ostrzeliwania artylerią, Niemcy tam trwali, wgryźli się w lochy i kamienie. Kiedy niezwykle dzielne wojska nowozelandzkie poszły do ataku, musiały się cofnąć. Przez cztery miesiące nikomu nie udało się to, co potem Polakom musiało się udać dzięki bezprzykładowemu męstwu i znacznym ofiarom. Nikomu nie udało się nie dlatego, by brytyjczycy, hindusi czy nowozelandczycy byli mniej dzielni, nie i jeszcze raz nie. Ale już tak jest. Wtedy przyszedł 2-gi Polski Korpus, ten właśnie z Rosji, Iranu i Iraku. W skład jego wchodziła i okryta sławą Karpacka Brygada. Dostali rozkaz: wziąć Monte Cassino i otworzyć drogę nr. 6 Cassilina—Rzym.

Samo Monte Cassino, sam klasztor jest na skale, na giej skale, jakich pełno wokół: Widmo, wzgórze 565, Monte Caio i Monte Samanigento. Polskie dowództwo od razu się zorientowało, że, by wziąć klasztor, trzeba go brać z drugiej strony, nie z tej, z której wszyscy próbowali. Ale, by wziąć klasztor z drugiej strony, trzeba było naprzód te i inne jeszcze wzgórza zdobyć. Szturmem na Widmo rozpoczęła się ta bitwa, która miała trwać 10 dni.

Naprawdę żadne pióro nie jest w stanie opisać grozy i ogromu nadludzkich wysiłków i strat, jakimi doko-

nano tego, co było przedtym wciąż niemożliwe dla innych. Były kompanie, gdzie padło 70 proc. stanu. Były sytuacje, że już żołnierze nie mogli iść ani wprzód, ani się cofać. Ranni oprócz ran od kul i odłamków mieli do mięsa porane dłonie, bo trzeba było żywcem wgryzać się w skałę i wspinać. Rannych spuszczano na linach. Potem brakło i wody i amunicji i nie było już co z rannymi robić. Były takie momenty, że całe kompanie pozbawione amunicji musiały trwać pod ogniem, wśród kamieni, przez trzy i więcej dni i nocy.

Zwycięstwo Polaków tak krwawo opłacone zaskoczyło wprost opinię publiczną i dowództwo alianckie, nie dlatego, by inni żołnierze byli źli. Tylko Monte Cassino już nikt nie mógł wziąć. Broniły go wyborowe jednostki niemieckie, wspomagane nawet przez naturę (nadmierzające stanowiska obronne, przy równoczesnej niemożliwości ataku).

Prelegent rozmawiał z marsz. Alexandrem i gen. Leeds, dowódcą VIII Armii. Umyślnie nie pytał, czekał co mu ci zimni, opanowani i małomówni Anglicy sami powiedzą. Szczególnie małomówni są angielscy generałowie. I oto oni zupełnie szczerze, impulsywnie, sami zaczęli mówić.

Marsz. Alexander, ówczesnie jeszcze generał, powiedział: «Żołnierze polscy są znakomici i mają pierwszorzędne dowództwo. Jestem dumny, że mam Polaków pod swymi rozkazami. Mają Polacy tylko jedną wadę, że jest ich zbyt mało. Dajcie mi ich więcej. Polska była zawsze krajem doskonałych żołnierzy i dlatego jestem spokojny o Jej przyszłość».

Gdy dekorował gen. Andersa najwyższym odznaczeniem angielskim Orderem Łaźni, powiedział: «Jeśli mi dano wybierać, kim mam dowodzić, między wszystkimi wojskami na świecie — wybrałbym Polaków, wybrałbym was».

Gen. Leeds wydał taką opinię: «Żołnierz polski jest doskonały. Cechuje go niezwykła odwaga. Pokazali Polacy co mogą. Miało tu miejsce zupełnie niespotykane gdzie indziej współdziałanie piechoty z artylerią. Artyleria polska, wyjątkowo skuteczna, poniosła w tym boju wyjątkowo małe straty, dzięki swemu niezwykłemu zakamuflowaniu stanowisk. Był to naprawdę piękny dzień, gdy sztandar polski powiał na szczycie Monte Cassino».

Bój o Ankone, który miał miejsce później, był bojem zupełnie odmiennym. Tanten, o Monte Cassino, był wyczynem indywidualnego bohaterstwa, ten, o Ankone, to całkowicie jak w zegarku, matematycznie wyliczony plan dowództwa i jego matematyczna na minuty obliczona realizacja. Chodziło o obcięcie armii gen. Hoppe od wybrzeża Adriatyku. Bitwę o Ankone już prelegent oglądał osobiście z okiem pałacu biskupiego w Ossino, królującego ze wzgórza nad rozległą równiną, na której jak na szachownicy dokonywały się posunięcia. Z wielkich renesansowych okien pałacu wraz z gen. Duchem lornetkował ruchy wojsk na kilkunastokilometrowej równinie, przeprowadzane mimo oporu jak najdokładniej przez każdą jednostkę w wykonaniu z góry powierzonych zadań.

Nie wiadzano, czy bitwa skończy się nazajutrz z rana czy w południe czy wieczorem. Wiedzano, że musi być wygrana. Wielu Niemców brano prawie bez wystrzału. Bitwa skończyła się o godz. 5-tej, gdy Pułk Ułanów Karpackich wjechał główną ulicą do miasta. Ulicę tę później nazwano imieniem pułku. Pułk ten n. b. posiada obecnie we Włoszech około dziesięć placów i ulic swego imienia.

Niezwykle ciekawy był stosunek Włochów do Polaków. Jeżeli do Anglików, Francuzów i innych, Włoch odnosił się jak do zwycięskiego nieprzyjaciela, który się «korekt» zachowuje, to stosunek do Polaków cechowała wszędzie duża serdeczność, aż dziwna dla innych żołnierzy. Źródło tego trzeba szukać w wielu cechach polskiego charakteru.

Włoch jest bardzo wierzący. I gdy zobaczył, że ci z daleka przybyli Polacy co niedzielę równo czwórkami, że śpiewem wala do kościoła i że gen. Anders i inni oficerowie biorą udział w procesjach kościelnych — zaczęło mu się to podobać i zobaczył, że można polubić Polaka, który kocha dzieci tak jak Włoch. Drgnęły polskie serca, gdy za oddziałami i wokół nich zrobiło się pełno od umorusanych dzieciaków włoskich, a wszystkie takie śliczne, a wszystkie tak przypominające żołnierzowi te, co zostały w Polsce, czy w Persji, lub te, co zostały na zawsze w mogiłach Rosji. I tak jakoś się stało, że wszystkie słodczyce i ostatnie wyszperane po kieszeniach czekolady znajdowały się w buziach wynędzniałych i głodnych brzdąców włoskich. Żołnierz wierzy w dobroć, w jej siłę i sprawiedliwość, bo wyświadczona tu komuś, wróci tam wśród bliskich, co zostali, wróci w tej czy innej formie. Potem całe gromady dzieciaków karmili żołnierze z kotła. To skruszyło serca włoskie. Więc na polskich oficerów i żołnierzy posypał się grad dyplomów obywatelstwa honorowego, żołnierzy rozrywano sobie na urlopy, a wszędzie poza placami Pułku Ułanów Karpackich, czy Dywizji Kresowej, pojawiały się odezwy w dwóch językach, witające bratni naród polski.

Anegdotyczną wstawkę robi prelegent, mówiąc o historii polskich Pestek, jaka się im we Włoszech przydarzyła. Pestki — to skrót od P.W.S.K. — Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet. Tak je żołnierze ochrzcili i tak już się nazywają. Pestki, to te kobiety i dziewczyny, którym udało się jakoś dojść czy dojechać do Buzukuku, to te kobiety i dziewczyny, jakich tyle tysięcy obozowało wokół namiotów żołnierskich przy 56 stopniach mrozu. Niebawem dzielne te Polki zorganizowane na wzór angielski («drajwerki») w pomocniczą służbę wojskową, wykazały we Włoszech tyle odwagi, sprawności, punktualności, a nieraz i męstwa osobistego i zaparcia się, że zjednały sobie sympatię wszystkich serc żołnierskich po wieczne czasy. Pracowały tuż za linią, jako sanitariuszki, kantyniarki, telefonistki, ciężarówkami podwoziły żywność i amunicję i t. p. Otóż «drajwerki» te do służby miały spodnie jako mundur. Zwykle męskie spodnie, jak to mają szoferzy i mechanicy — takie kombinezony. Jak Włochy Włochami, jak długo taka zapadła wioska włoska gdzieś sobie w Apeninach istnieje, nikt większej demoralizacji nie widział: baby w spodniach! Kto to widział? Więc pani doktorowa do pani aptekarzowej, ta do piekarskiej, tamta w te pędy do żony sekretarza gminy: widziała pani, moja pani? Straszne zgorszenie. Ale gdy tylko przyszła pierwsza niedziela, te umorusane szoferki ciężarówek ubrały czyste sukienki z kominem i skromnie poszły do kościoła. Włosi nie wiedzieli co o tym sądzić, ale gdy zobaczyli, że te jasnowłose dziewczęta najbardziej ze wszystkich Polaków kochają włoskie «bambina», że taka dziewczyna z dalekiej północy i nosa brzdącowi utrże i czekoladę da i mydełko — roztajały włoskie serca. Tak między nami mówiąc, to wiecie pań włoskich pocichu zaczęło sobie szyć spodnie, takie jak to Polki miały, bo to i wygodne i ciepłe no i modne teraz!

Tak sobie myślę, że dużo jest prawdy w naszym im-

karskim sloganie: Jak cię widzą, tak o Polsce myślą. Prelegent właśnie mówi, jaką to piękną robotę propagandową zrobili nasi żołnierze. Bez przesady Polacy są najpopularniejsi ze wszystkich wojsk sprzymierzonych. Specjalnie to oddziaływanie polskości i sławy polskiego imienia dało się obserwować na żołnierzach amerykańskich polskiego pochodzenia, którzy sami, a czasem nawet ich rodzice, nie znali wcale «Starego Kraju».

W Neapolu w pewnym lokalu prelegent spotkał pewnego majora amerykańskiego z Inneapolis. Miał on 33 lat i nazywał się Eugeniusz Kurdyk. Nigdy Polski nie widział, ani jego rodzice. Mówił słabo po polsku, ale mówił i jak to wszyscy oni, od razu «per ty». I major ten pyta:

— A czy ty umiesz śpiewać: Góralu, czy ci nie żal?

Bo okazało się, że to jeszcze pamięta, jak mu Babcia, co z Rabki pochodziła, śpiewała to często. I major amerykański Eugeniusz Kurdyk zapewniał, że po wojnie, żeby nie wiem co, on musi Rabkę zobaczyć.

W Rzymie w hotelu «Chicago» prelegent poznał znowu Polkę, korespondentkę wojenną. Nazywała się Zośka i tak się kazała nazywać. Tyle słyszała o Pestkach i chciała je koniecznie zobaczyć. Zośka pochodziła z Chicago i miała tam rodziców, do których się uparła po polsku list napisać, bo przecież skończyła tam 6 klas polskiej szkoły powszechnej.

I takich przykładów były setki. Trzeba było widzieć dumę tych Amerykanów ze swego polskiego pochodzenia, trzeba było widzieć ich radość, gdy coś mogli pomóc Polakom. I to właśnie było największe zwycięstwo, większe od zwycięstwa orężem. Żołnierze Armii Polskiej przez swe bohaterskie czyny urobili dla sprawy polskiej i wrócili jej setki tysięcy serc i umysłów we wszystkich sferach i narodowościach.

Żołnierz Armii Polskiej nie ma czasu na robienie polityki: nie robi jej, bije się. Wie, że gdziekolwiek Niemca bije, dobrze robi i Wspólnej Sprawie służy. Ale trzeba, by wszyscy wiedzieli co myśli i czuje ten żołnierz, okryty sławą i bliznami. Żołnierz nie po to się bije, krwawi od pięciu lat po wszystkich frontach świata z niespotykaną gdzie indziej wiernością dla sprawy Aliantów, by miał wrócić do Polski zależnej od kogokolwiek i okrojonej przez kogokolwiek. Żołnierz nie rozumie żadnych szacherek dyplomatycznych ani żadnych równowag politycznych. I takiej siły nie ma, by mogła mu wytłumaczyć, że ofiara jego krwi i wierności ma pójść na marne.

KONKURS

Polska Y.M.C.A. we Francji rozpisuje konkurs na skecz lub krótką jednoaktówkę, która nadawałaby się do wystawienia na scenie i w warunkach żołnierskich. Ilość osób 4 lub 5. Czas trwania gry do 25 minut. Musiałby być uwzględnione: myśl wychowawcza, hasło polskiej Y.M.C.A. «Przez charakter, wiedzę i zdrowie — służba dla Polski», osoba imkarza i elementy zdrowego humoru żołnierskiego. Miałoby to być upamiętnienie sceniczne pracy imkarzy wśród żołnierzy na obczyźnie.

Nagrody są piękne. Opracowania nadsyłać do redakcji «Razem» w terminie do 10 maja b. r.

Każdy uczestnik może przysłać kilka opracowań. Prace należy opatrzyć godłem, a w dołączonej zamkniętej kopercie podać godło, nazwisko i adres autora pod nim się kryjącego.

A więc wszyscy, którzy mają «dryg» — do roboty!

Wiersz do Krzysiuni

Kiedy będziemy znowu wszyscy razem
— Mamusia, Tatusi Babcia i wujciowie,
już nie poprosisz: powiedz bajkę, powiedz,
kiedy będziemy znowu wszyscy razem.

Gdy w krąg siądziemy w salonie na Polnej,
jak dawniej Krzysiu — nie wiem czy pamiętasz?
wszyscy będziemy patrzeć w Twoją oczek
gdy w krąg siądziemy w salonie na Polnej.

Ty kłóła Babcie. I będziesz rozmyślać,
że się zmieniło dużo na tym świecie,
że takie stare są już dzisiaj dzieci,
siądziesz przy Babci i będziesz rozmyślać.

A nam się będą żyły troszeczkę kręcić,
bo coś dla Ciebie jakaś bajka dzisiaj,
gdy znasz Kazakistan — Ty, malutka Krzysia —
tak, nam się będą troszeczkę żyły kręcić.

Poprobujemy jednak się uśmiechnąć —
Teheran, Transwal, z Lizbony do Anglii
i wiem na pewno: łąca nam oczy zamgli,
choć spróbujemy się jednak uśmiechnąć.

Więc zaczniesz mówić — choć wspomnienia bolą —
za naszą Basia gdzieś w Bucharze leży...
(dziecko — a jeden z nieznanymi żołnierzami)
...i będziesz mówić, choć wspomnienia bolą.

I będziesz mówić mądrze, jak dorośli,
że to był tyfus, że zimno w czajkanie,
brak było chleba, i że wszystko na nic
i będziesz mówić mądrze, jak dorośli.

I będziesz mówić, bez dzieciństwa dziecko,
że zimno było, a w Iranie ciepło,
i tyle było z owocami sklepów —
— Krzysiu nasz, bez dzieciństwa dziecko.

A uśmiechając się do dawnych zabaw
powiesz: prawdziwym okrętem jechałam,
Mamusiu prawda, że się nic nie bałam,
— i się uśmiechniesz do dawnych swych zabaw.

Widziałam Persów, Arabów, Murzynów,
najprawdziwszego wielbłąda i strusia,
słonia — i wreszcie i wreszcie Tatusia —
— pół świata Babciu, Arabów, Murzynów.

Powiesz: I am sorry, zapomniałam trochę,
bo tyle tego, aż za dużo było,
nie wiem co było, a co mi się śniło —
powiesz: I am sorry, zapomniałam trochę.

Lalki? Babuniu, ja już jestem duża.
w bajki nie wierzę, ani w Mikołaja,
w Bucharze został mój gliniany pajac.
Lalki? Babuniu, ja już jestem duża.

I teraz pójdę do prawdziwej szkoły,
nie gdzieś w ziemiance, garażu, czy szopie,
bo jestem duża i dzielna jak chłopiec —
no, wreszcie pójdę do prawdziwej szkoły.

Ktoś nie wytrzyma i żyły poobciera,
Mamusia, Tatusi, Babcia lub wujciowie,
lecz nie Ty, Brzdącu. I jdz nic nie powiesz.
...Ktoś nie wytrzyma i żyły poobciera...

Czy mnie zrozumiesz, moja biedna Krzysiu,
gdy nic nie powiem, lecz Cię ucałuję
i schylę głowę, ja duży, ja wujek?...
czy mnie zrozumiesz, moja złota Krzysiu?

Ja nie zrozumiesz, to może i lepiej,
może zapomnisz co przeszło, co było:
kochaj nas wszystkich i bierz naszą miłość
jak gdzieś kęs chleba w kazachstańskim stepie.

Mimochodem

W czasie gorących dni po Liberation szedłem ze znajomym przez Lyon. Wszędzie powiewały sztandary. Wszędzie była radość. Czasem jeszcze gdzieś odzywały się strzały. W pewnym momencie zobaczyłem następujący obrazek:

Ulicą przelewał się rozwrzeszczany i podniecony tłum. Na jego czele kilku żołnierzy armii De'attre de Tassigny prowadziło jeńca w mundurze niemieckim. Jakiś cywil o semickiej twarzy służył za tłumacza, ale nie bardzo mógł się po niemiecku z niemieckim żołnierzem dogadać. Coś mię tknęło: może Polak?

Przystąpiłem do niego i pytam:

— Pan Polak?

— Tak panie, Polak.

Nie zapomniałem jego wystraszonego oczu, niebieskich polskich oczu w polskiej pocziwej twarzy. Na wszystkie pogroźki i szturchanie, jakich mu rozwydrzony tłum nie szczędził, zaciskał zęby tylko w bezsilnej niemocy wytłumaczenia, że nie jest Niemcem, i smutnym, zmęczonym wzrokiem wiodł po powykrzywianych nieważnością twarzach, jakby szukając jakiejś, w której znajdzie choćby trochę współczucia i bratersstwa.

— Tak panie, jestem Polak, z Pomorza.

Powiedzieliśmy, by się nie bał. Mój znajomy był dość wysokim urzędnikiem w ambasadzie w Paryżu i gdy wylegitymował się Francuzom, zaczęli spokojnie przez niego badać żołnierza. Rzecz się tak przedstawiała.

Wraz ze swymi dwoma kolegami schował się jeszcze na parę dni przed wycofaniem się Niemców z Lyonu u pewnego Polaka, który ich chował i żywił. W owym dniu właśnie Polak ten wyszedł po chleb i wkrótce po jego wyjściu przyszedł do mieszkania patrol, naśnany przez sąsiadów, który go aresztował i bez żadnych pytań w triumfie prowadził. Pytał się go potem, gdzie są jego dwaj koledzy schowani, o których im powiedział, ale nie umiał drogi wskazać, bo go wprowadzili na inną ulicę. Zgubił się, nie wie gdzie jest, a żołnierze i tłum zamęczają go o tamtych.

Mówiąc to, co chwilę toczył wzrokiem, gdzie było tyle niedawnej jeszcze męki i strachu i jakby kuląc się przed ciosami, które by miały spaść. Jeszcze raz uspo-

koiliśmy go i tłumaczyliśmy wszystko żołnierzom i narastającemu naokoło tłumowi.

W międzyczasie znalazł się zwabiony zbiegowiskiem i wrzaskami Polak, który ich chował. Ze zgrozą poznał w żołnierzu swego lokatora. Na jego twarzy odbił się niepokój. Poprawił chleby pod pachą i spokojnie zaczął tłumaczyć, że mieszka tu od lat, że zna go tu, że jest Polakiem i schował trzech Polaków z armii niemieckiej, którzy przecież tam siłą zostali wcieleni, że ich od tygodnia z narażeniem życia chował i żywił.

Żołnierz w międzyczasie opowiadał mi swe przeżycia.

W 1939 r. walczył przeciw Niemcom. Był ranny i odznaczony. Pochodzi z Wieżycy. Potem wrócił do domu. Pracował. Wysłali go na roboty do Niemiec, do bambra. W 1943 kazali mu iść do wojska pod groźbą rozstrzelania rodziny. Brat poległ pod Stalingradem, był wcześniej wzięty.

Wreszcie robociarz prowadzi wszystkich do swego mieszkania, skąd za chwilę wyprowadza dwóch blondynów, młodych chłopców. Francuzi zabrali niemieckie karabiny i pałac papierosy, konwojują jeńców.

Idę koło brodatego żołnierza i ogładam wiszący mu na lewym ramieniu karabin niemiecki: jest orzełek polski i słowo Radom. Idziemy do hotelu zarekwirowanego na główną kwaterę wojsk francuskich. Po drodze wrzaski radości tłumy, który do niedawna niewolniczo uniożony, pluje teraz w twarz żołnierzom niemieckim, wrzeszcząc i pokazując im radośnie na migi, że będą wisieć. Jakaś kobieta z rozwianymi włosami podlatuje do jeńców i macha im pod nosem pogrzebaczem.

Konwojujący żołnierze odpychają babę i tłumacza tłumowi, że to Polacy, że nie Niemcy. Sceny takich napaści powtarzają się co chwilę. I co chwilę my (a zebrało się jeszcze kilku znajomych Polaków) i żołnierze tłumaczymy tłumowi, że to Polacy, że to nie bosze.

I za każdym razem wrzask i niechęć ucicha i wszystkich Francuzi kiwają głowami:

— A, bon, ce sont des Polonais...

Historia ta skończyła się w Głównej Kwaterze Francuskiej, gdzie badano jeńców, gdzie znajomy mój p. S. M. poręczył za nich i gdzie w mig dostarczono im ubrań cywilnych z P. C. K.

To wszystko było we wrześniu. Przed kilkunastu dniami spotkałem owego cywila Polaka, który chował

jeńców, na jednej z polskich uroczystości w Lyonie. Poznał mnie odrazu. Zapytałem go o trzech chłopców.

— Pojechali do wojska, cieszyli się, panie, jak cholera.

Rozmawialiśmy chwilę i robotnik ów mówi z odcieniem goryczy w głosie, że nie chodzi mu o żadne podziękowania za chowanie trzech żołnierzy i uratowanie ich — bo dla niego samego jest najważniejsze własne przeświadczenie, że zrobił dobrze, — ale chodzi mu o inną rzecz: sam pracuje b. ciężko na kawałek chleba i poszedł do Konsulatu i Czerwonego Krzyża, czy nie dałiby mu zwrotu kosztów, przynajmniej częściowego, za żywienie trzech ludzi przez 9 dni, no bo nie ma sam, ciężko haruje. Nic nie wskórał. Gorycz i żal jest w jego głosie, ale twardo mówi:

— Drugi raz nie pójde. Niech tam...

Ściskam mu dłoń w miśczeniu.

Nazajutrz szedłem ulicą i zobaczyłem grupę jeńców niemieckich, prowadzonych przez F.F.I. Słyszę głosy polskie. Twarze wynędzniałe, a kości ramieniowe i łopatki wystają przez poniszczone dundury. Dawno nie widziałem ludzi tak wynędzniałych. Są w niewoli francuskiej od sześciu miesięcy, teraz ich wiozą do pewnej stacji zbornej Wojska Polskiego. Od trzech dni nie mieli w ustach. Wszyscy wiemy, że Niemcom w niewoli amerykańskiej jest dobrze, a we francuskiej źle. Ale co mają do roboty Polacy w niewoli francuskiej i to już w siedem miesięcy prawie po oswobodzeniu Francji?

Czyja tu jest wina? Bo to bezsprzecznie jest czyjaś wina i niedopatrzenie. Chciałbym, by ktoś miarodajny zapewnił mnie, że już nie ma ani jednego Polaka z armii niemieckiej w niewoli francuskiej. Te dni naszych Rodaków spędzone w niewoli francuskiej bolą nas wszystkich. Był już czas na zorganizowanie tego pałecznego zagadnienia. Tak samo nie bez ale jest pierwszy wypadek. Mnie się wydaje, że byłoby tylko normalne i ludzkie, gdyby robotnikowi temu zwrócono przynajmniej część kosztów uratowania trzech istnień polskich. Ale cóż — ja nic więcej nie mogę zrobić poza napisaniem tego felietonu, gdzie jest dużo goryczy i oburzenia. Gorycz smakuje gorzko. Tylko nie wszyscy to wiedzą z własnego doświadczenia.

M.

Z Pamiętnika Satyrycznego „Marchewka” Mariana Hemara

POLSKIE RADIO

Żyjemy pośród Anglików,

Warto tedy czasami

Zestawiać siebie z nimi,

Ich porównywać z nami.

Zostawiając na boku

Pochopniejsze i skorsze

Wnioski, co u nich lepsze,

Co podobne, co gorsze.

Ani kompleks niższości,

Ani megalomania.

*Nie powinny zamącać
Spokoju porównywania*

Weźmy np. radio —

Z miejsca różnice chwytasz

Gdy przemawia angielski

Albo polski dygnitarz.

Bez względu na odmiennosc

Osoby, treści, języka,

Polskiego i angielskiego

Rozróżnisz dostojnika.

Anglik zaczyna: «Good evening»

Polak w natchnieniu dysze:

«Rodacy!», «Obywatele!»
Co najmniej: «Towarzysze!»

Anglik mówi do ciebie.
Jesteś dlań wart zachodu.
Polak odrazu się zwraca
Do całego narodu.

Anglik — z zażenowaniem
Jakby tłumaczył ukradkiem:
«Forgive me my being too clever,
Mówię co wiem. Wiem — przypadkiem»...

Polak, gdy przed mikrofon
Na dziesięć minut go biorą —
Rzecz dziwna, momentalnie
Poczuwa się Wernyhora.

Śluchając go, zażenowaniu
Jakoś się oprzeć nie może,
Że mi tak wszystko tłumaczy,
Jak pijanemu drogę.

Krzyknął: «Bracia!» — a mówi
Jak ekonom do chłopów,
Jak felczer w kasie chorych,
Jak belfer do nas, jełopów.

Anglik, gdy nie ma tematu,
Prostu — nie miewa speechu.
Polak w takim wypadku
Mówi o Duchu. O Zniczu.

O rubieży, o chramie,
O Chrobrym, o Jagiellonach,
O Kościuszcze, Grunwaldzie,
Lub (rzadziej) o legionach.

O, słowa białe-czerwone!
O, słowa we krwi i mleku
Co nic nie znaczą — mówione
Częściej, niż raz na ćwierć wieku!

Anglik kończy, powiedział:
«Good night». Najuprzejmiej jak mó,
Polak nie umie zakończyć
Bez «Tak nam dopomóż Bóg».

Różnica w stylu przemówień
Inny też efekt oznacza
U angielskiego, a inny
U polskiego słuchacza.

Gry w programie radiowym
Przemowa dostojnika —
Anglik nastawia odbiornik.
Polak odbiornik zamyka.

SENSE OF HUMOUR

Lubimy stwierdzać z dumą
I zgadzać się, bez sporu,
Że sprawdzianem kultury
Jest poczucie humoru.

I że my — jak nikt inny,
Od wieków, od Reja przecie —
Naszym poczcieniem humoru
Przodujemy na świecie.

Że w naszej literaturze —
Z tego nas nie obędną! —
Tam Słowacki, tu Rodoć,
Tam Trembecki, tu Fredro!

Jakiegokolwiek nazwisko
Na chybił-trafił wyskub,
Spójrz — Morsztyn! Patrz — Krasicki!
(Dziś by się zdał taki biskup).

Tu Prus, tam Makuszyński,
Tam Boy, tu Nowaczyński,
Nawet w najnowszych czasach
Młody Ignacy Baliński. —

Wspaniały zastęp kpiarzy,
Satyryków, sowizdrzałów,
Ich fraszek i dowcipów,
Pamfletów i kawałów.

Błyszcząca, literatury
Śmiechem kwitnąca połać!
Nasze poczucie humoru —
Jest się na co powołać.

Jesteśmy drwiący, kpiarscy,
Kawalarscy, złośliwi,
Z natury ostrzy, cięci,
Dowcipni i żartobliwi.

W docinkach, fraszkach, żartach,
Bon-motach iście paryskich,
Jak nikt inny umiemy
Drwić z wszystkiego i wszystkich.

Umiemy kpić z Anglików,
Z Moskali i ze Szwabów,
Z Litwinów, z Ukraińców,
Z Czechów, z Żydów, z Arabów.

Z wad, cnót, zalet, zwyczajów,
Z języka i z ubioru —
Kłoby się na nas obraził,
Nie ma poczucia humoru.

Tylko — niech Pan Bóg broni,
By ktokolwiek na świecie,
Zarzem, fraszką, uwagą,
Słówkiem, maczką w gazecie,

Nas wykpił, z nas zażartował,
Nas tknął — pomyśleć zgroza!
Już poczucie humoru
Stulą się jak mimoza.

Już uśmiech z warg nam ucieka,
Już gniew nas trzęsie srogi,
Już pierś wzbiera rozkoszą
Strasznej martyrologii!

Już krew oczy zalewa,
Rycerska dłoń już na kordzie!
Nasze poczucie humoru
Już każe «walić po mordzie».

Okrutne mnie dręczy pytanie,
Obawy mam wcale niepotonne —
Czy nasze poczucie humoru
Nie jest zbyt jednostronne?

Bo cała ta w humor zabawa
Ma jedno prawo główne:
Jeżeli humor ma prawa —
Niech będą dla wszystkich równe.

Ziemia i człowiek

P. Dr. Witold Kozłowski, który zajmuje się obecnie badaniami historycznymi i geopolitycznymi, w odczycie w dn. 19 stycznia 1945 r. pod tyt.: «Ziemia i człowiek», rozpatruje wpływ tych dwóch czynników na tworzenie się i losy narodów.

Nie tylko bowiem człowiek jest twórczy, a ziemia tylko bierną materią, ale przeciwnie twórczość ziemi, wynikła z nieznanym nam praw natury, jest cudowna i jak dotychczas wspanialsza, niż te wszystkie cuda techniki człowieka, który buduje drapacze i samoloty-olbrzymy, ale nie potrafi urodzić nawet trawki.

Nie więc dziwnego, że fizjokraci zahypnotyzowani twórczymi prawami natury, przyznawali wartość produkcyjną tylko pracy rolnika, współdziałającemu z ziemią (elementem twórczo-produkcyjnym), a wszystkie inne zawody uważali za nieprodukcyjne, co najwyżej przerabiające rzeczy istniejące, stworzone przez ziemię.

Tej czarownej się ziemi ulegli też niektórzy geopolitycy, przyznając jej prymat w formowaniu społeczności i historii świata.

Ale teorie naukowe — jak zaznaczył prelegent, nie wpływają bezpośrednio na kształtowanie się opinii, lecz rozpowszechnione przez publicystykę, stać się mogą czynnikiem dynamicznym w polityce.

Do tej kategorii należy teoria, dotycząca stosunku wzajemnego, jaki zachodzi pomiędzy człowiekiem a ziemią. W r. 1897 geograf niemiecki Ratzel wydzielił z geografii naukę osobną, nazwaną zrazu «geografią polityczną» a niedawno przezwaną «geopolityką». Ratzel dowodził, że koleje historyczne państw zależą od jego położenia i od przestrzeni, podatnej dla jego ekspansji. Determizm tej teorii wywarł pewien wpływ i na uczo-nych francuskich, lecz zasługą ich było uwydatnienie roli człowieka przy tworzeniu się narodu. Vidal de la Blanche określa wogóle cywilizację jako zwalczanie przeszkód, które przyroda stawia człowiekowi. Z drugiej strony, istniały już oddawna teorie socjologiczne, które się zawdzięcza głównie Spencerowi, nacechowane również determinizmem, lecz zajmowały się one człowiekiem w oderwaniu od ziemi. Szukano praw, rządzących tworzeniem się i rozwojem społeczności ludzkich bez względu na to, gdzie człowiek mieszka. Szkoła francuska geografii politycznej nie rezygnowała z szukania tych praw, lecz uwzględniała czynnik terenowy jako nierozłącznie związany z człowiekiem i przez swoją rozmaitość współstanowiący o rozmaitości cywilizacji. Mimowoli ulega się tym prądom, wyobrażając sobie, że naród, państwo, cywilizacja, są to jakieś zjawiska samorodne w masie ludzkiej, wiecznie tylko skazanej na kolektywne zmaganie się z ziemią. Nie uznaje się czynnika woli świadomej, dążącej do stworzenia jednolitej społeczności, różnej od innych grup ludzkich. Zrealizowanie wymaga aktu działania, powstanie więc narodu wymaga założenia go.

Zakłada się jednak nie naród, lecz państwo, które znowu samo się nie robi, tylko zakłada je i prowadzi człowiek, a człowiek może to robić dobrze lub źle. Państwo bowiem, będąc siłą, którą naród stwarza i urabia, jest wynikiem działalności ludzkiej, rozumu i woli, podlega zatem prawom czynników natury duchowej, nie zaś jedynie wymogom terenowym.

Platon, zastanawiając się nad tym zagadnieniem, sprowadzał je do pojęcia sprawiedliwości. Istnienie narodu zależy więc od tego, czy i w jakim stopniu zasada ta jest stosowana przez państwo. W razie pozytywnym naród może wykształcić tak silną indywidualność, że później potrafi nawet żyć bez własnego państwa, bez ziemi własnej i nawet bez własnego języka, jeśli los go do tego zmusi. W razie negatywnym, t. zn. słuchając złych przywódców, naród może być doprowadzony do zguby.

Wyższe prawo, które rządzi istnieniem narodów, Polska ma dziś za sobą w całej pełni.

Zagadnienie Prus Wschodnich

W dniach 27 i 30 stycznia r. b. odbyły się dwa odczyty p. Jerzego Jankowskiego o «Prusach Wschodnich».

Prelegent starał się — w ramach krótkiego czasu, którym dysponował — omówić wszystkie zagadnienia, dotyczące ziem wschodnio-pruskich. Do materiałów źródłowych i statystycznych dołączył p. Jankowski sporo treści anegdotycznej, zaczerpniętej z podróży po omawianym terenie. Mówca kładł nacisk na konieczność zaznajomienia się szerokich warstw społeczeństwa polskiego z przeszłością i teraźniejszością Prus Wschodnich, których włączenia w swoje granice domaga się Polska — od lat 25-ciu.

Po omówieniu warunków naturalnych Prus Wschodnich i opisie kraju, p. Jankowski przedstawił słuchaczom rzut jego historii, podkreślając znaczenie najważniejszych dat. Stwierdził on m. i. że rzeź Gdańska (1308 r.) i wyćpienie Prusów zostały milcząco zaakceptowane przez twórców traktatu wersalskiego, a zagadnienie t. zw. korytarza, datujące się od 1918 r. nieuświadomiona opinia międzynarodowa uznaje za nowe.

Problemy gospodarcze, a zwłaszcza dominujące zagadnienie rolnictwa w Prusach Wschodnich zostały nawiązane z poparciem cyfr zarówno od strony stosunku Prus do Rzeszy Niemieckiej, jak i od strony ich stosunku do Polski. Ta najuboższa prowincja Rzeszy, do której gospodarki musiały Niemcy stale dopłacać, może się stać bardzo pożyteczną częścią składową Państwa Polskiego.

Odpadnie bowiem stała troska o ręce do pracy na roli, odpadnie konieczność pokonywania olbrzymich przestrzeni, by sprzedać płody rolne Prus Wschodnich w Rzeszy i sprowadzić stamtąd wyroby przemysłowe. Ogromny rynek zbytu, jaki stanowią ziemie polskie, pozwolą Prusom żyć dostatnio, a ich nadmorskie położenie zbliży je jeszcze do gospodarstwa polskiego.

Sprawa kolonizacji Prus Wschodnich, która trwa bez przerwy od 700 lat, ma swój odpowiednik w wyludnianiu się tej ziemi wskutek zaniku przyrostu ludności oraz emigracji. Te dwa kluczowe zagadnienia Prus Wschodnich zmieniają zupełnie swoje oblicze, gdy ziemia ta wróci do Polski. Politycznie — jak wykazał prelegent — Prusy Wschodnie, siedziba junkrów, były wspaniałym terenem dla rozwoju niemieckiego nacjonalizmu a ostatnio hitleryzmu. Stąd wychodziły najazdy i zabory.

P. Jankowski omówił szczegółowo zagadnienie polskości w Prusach Wschodnich. Od rozlicznych pamiątek polskich rozsianych po całym kraju, przeszedł mówca

do zagadnienia szkoły polskiej, która podtrzymywała, aż do zupełnego wygnania z niej języka polskiego (1865 r.), po'skie wpływy kulturalne.

Zagadnienia ludności polskiej w Prusach Wschodnich zajęły spore miejsce w odczytach. Prelegent zanalizował przede wszystkim sprawę mazurską, podkreślając niewłaściwy do niej stosunek społeczeństwa polskiego. Mówiąc o plebiscycie na Warmii i Mazurach (11. VII. 1920) p. Jankowski rozpatrzył przyczyny, dla których zostały one przez Polskę przegrane oraz podkreślił aktualność sprawy plebiscytów — w tej czy innej formie — które prawdopodobnie zostaną Polsce narzucone po tej wojnie. Krótki rys mniejszości litewskiej w Prusach Wschodnich zakończył omawianie spraw narodowościowych.

W konkluzji prelegent zaznaczył, że sprawa Prus Wschodnich musi być po tej wojnie ostatecznie załatwiona, gdyż zagadnienie to ciąży na całej naszej historii. Jedyną formą załatwienia kwestii wschodnio-pruskiej jest włączenie tej ziemi wraz z Gdańskiem w granice Rzeczypospolitej.

Polskie pamiątki w Paryżu

Do jednego z najdroższych naszemu sercu odczytów należał p. Dra Olgierda Zdrojewskiego o «Pamiątkach polskich w Paryżu». Choć Polska nie sąsiaduje z Francją, to jednak w historii zaszło wiele takich faktów, które łączyły dwa narody węzłami wiecznej przyjaźni, opartej głównie na braterstwie broni. Ta przyjaźń znalazła też swój oddźwięk w literaturze i sztuce obu narodów, gdzie wzajemny wpływ zaznaczył silnie swe piętno w szczególności w epoce romantyzmu.

Najbardziej ożywione stosunki były w okresie najsmutniejszym dla Polski, to też większość pamiątek znaczących drogę polskiej martyrologii. Ale mamy też we Francji pamiątki z epoki naszej potęgi i sławy, n. p. po Sobieskim, z epoki bohaterskich walk napoleońskich, oraz po naszych wieszczach i kompozytorach.

Pierwsze pamiątki sięgają jeszcze XII w. (grawiura Ziarki). Do jednej z najstarszych też pamiątek należy zegar na Pałacu Sprawiedliwości z XVI w., gdzie w górnej części znajduje się Orzeł Polski i Pogoń Litewska.

Z XVII w. pochodzi pamiątka po królu Janie Kazimierzu w kościele St. Germain des Près.

W Luwrze mamy pamiątkę po królu Janie III.

Do pamiątek po walkach napoleońskich należy spis bitew i wykaz generałów polskich na Łuku Triumfalnym. Poza tym istnieją postacie polskich żołnierzy na pomniku na placu Clichy.

Do jednej z najważniejszych pamiątek w Paryżu z okresu wielkiej emigracji należy Hôtel Lambert, który przez długie lata był faktycznie ambasadą Polski, oraz Biblioteka Polska, dar emigracji, założona przez Henryka Sienkiewicza, oraz znajdujące się w niej Muzeum Adama Mickiewicza.

Wiele mamy w Paryżu pamiątek po Ks. Poniatowskim, który należał do jednej z najbardziej popularnych postaci we Francji i której był marszałkiem, nie będąc obywatelem francuskim.

Po Mickiewiczu mamy około 200 pamiątek, z których na szczególne podkreślenie zasługuje pomnik na pl. Alma, dłuta E. Bourdelle'a, przedstawiający poetę jako pielgrzyma.

Wiele jest pamiątek po Chopin'ie, który żył przez wiele lat w Paryżu, ale tworzył z myślą o utęsknionej Pol-

sce. Między innymi w parku Monceau stoi pomnik, wykonany przez Jacques Froment Meurice przedstawiający postać Nocy i Harmonii. Drugi pomnik Chopina jest w Ogrodzie Lpksemburskim.

Do najbardziej wymownych pamiątek należą we Francji groby polskie na cmentarzach paryskich. Na Montmartre, gdzie znajduje się Avenue de Pologne, są groby Lelewela i Zaleskiego oraz groby zbiorowe nieznanym bohaterów polskich.

Na cmentarzu polskim w Montmorency znajdują się groby rodziny Adama Mickiewicza, a w kościele Niemcewicza i Kniaziewiczza i wielu, wielu innych. Nagrobek Chopina znajduje się na cmentarzu Père-Lachaise.

Do najbardziej znanych i zwiedzanych cmentarzy należy Montmartre. Z tego też cmentarza zostały zabrane i przewiezione na Wawel prochy Słowackiego.

Obok tych przykładowo wymienionych kilku pamiątek, istnieje jeszcze wiele, które jednak ząb czasu niszczy powoli. Wiele też pamiątek zniknęło zniszczonych przez ostatnie wojny lub dzięki barbarzyństwu Niemców.

Ale historia jest łaskawa dla potomnych i tworzy nowe...

Problem zabezpieczenia pokoju świata

P. Dr. Marek Korowicz w swoim odczycie w dniu 10 marca b. r. poruszył problem nad rozwiązaniem którego pracują najwięksi dyplomaci, politycy i teoretycy prawa, a w którym geniusz ludzki okazuje się jeszcze niedoskonały, jeszcze niedostatecznie rozwinięty, aby położyć kres wojnom. I jakby przez dziwną ironię losu geniusz świata, nie mogąc wznieść się na odpowiedni poziom, by zapobiec wojnom, pracuje z lepszym skutkiem w kierunku odwrotnym, tworząc coraz doskonalszą, coraz straszniejszą broń. A jak ważny to jest problem, świadczą o tym skutki wojny światowej, a w szczególności dzisiejszej — i można śmiało powiedzieć, że od jego rozwiązania zależy istnienie ludzkości. Uwzględniając bowiem «postęp» w sztuce wojennej i w uzbrojeniu, widzimy, że rozwój techniki i cywilizacji pozwoli w wojnach następnych na jeszcze straszniejsze metody walki.

To też z trwogą myślą matki o przyszłości swych dzieci i wszyscy zgadzają się, że wojnę przegrywają właściwie tak zwycięzcy jak i zwyciężeni.

P. Dr. Korowicz przedstawił problem zabezpieczenia pokoju świata w jego fazach rozwojowych.

Pierwszy okres to walka zwierzęca o byt, o potęgę, o władzę i walki dynastyczne.

Wojny stają się jednak coraz bardziej mordercze, coraz większa część społeczeństwa jest do niej wciągana, a obecnie jesteśmy świadkami wojny totalnej, — gdzie cała ludność cywilna bierze udział i gdzie bestialstwo pierwotne, zwierzęce zostało zastąpione przez barbarzyństwa masowe.

Pierwsze usiłowania zabezpieczenia pokoju wyrażały się w idei państwa uniwersalnego: Rzym i Pax Romana, Kościół rzymsko-katolicki i Frankowie, Arabowie i Turcy, Cesarstwo Rzymskie narodu niemieckiego i Papieństwo.

W historii wiele było prób zabezpieczenia pokoju świata, poczynawszy od Amfiktionie delfickiej poprzez Ligę Narodów Li-Ki Konfucjusza, poprzez arbitraż europejski E. Cruse aż do Kongresu Wiedeńskiego i Berlińskiego.

Następnie prelegent omówił sprawę **prawnego zabezpieczenia pokoju drogą umów i arbitrażu.**

Cały problem bazuje się na wprowadzeniu arbitrażu przymusowego zamiast uciekania się do wojny w sporach międzynarodowych. Po raz pierwszy spotykamy się z roztrząsaniem tego problemu w perspektywie międzynarodowej na Konferencjach Haskich w r. 1899-1900, choć już konferencje panamerykańskie powoływały przymusowy arbitraż.

Zawarta w Hadze konwencja proklamowała pokojowe załatwienie sporów międzynarodowych z arbitrażem na czele, jednak bez żadnych sankcyj. Arbitraż był więc fakultatywny, znaczenie najwyższe moralne.

Po wojnie światowej stworzona Traktatem Wersalskim Liga Narodów nie wykluczyła wojny, jako prawnego środka załatwiania sporów międzynarodowych, natomiast zobowiązywała członków L. N. do wyczerpania pewnej procedury dla pokojowego załatwienia sporu, poczem państwa mogły rozpocząć działania wojenne. Twórcy bowiem Ligi Narodów wychodzili z podstawowej zasady prawa narodów, że państwo może prawnie obowiązywać tylko to, na co się samo zgodziło, tylko więc umowa, czy traktat może stwarzać prawo w stosunkach między państwami i tylko taki akt jest źródłem prawnego porządku międzynarodowego. Nie chcąc zatem gwałcić tegoż podstawowego prawa, nie przyjęto żadnych sankcyj zbrojnych, które by miały zmuszać państwo do takiej czy innej decyzji.

Okres po wojnie światowej jest bardzo płodny w pakty, umowy, deklaracje, konwencje, których tysiące zarejestrował sekretariat Ligi Narodów. Powstaje jednak idea zawarcia jednego traktatu, gdyż umowy dwustronne czy trzystronne tworzą obozy, prowadząc raczej do wojny. Po myśli więc bezpieczeństwa powszechnego szedł protokół genewski z roku 1924, który przewidywał arbitraż przymusowy i sankcje automatyczne. Projekt ten wypełniał lukę dotychczasowego ustawodawstwa międzynarodowego. I choć uchwaliło go 55 państw, główne mocarstwa odmówiły podpisania go.

Następnie znowu powrócono do umów regionalnych, z których należy wymienić w szczególności traktaty lokańskie, potępiające wojnę i zabezpieczające pokój tylko na Zachodzie!

Na szczególną wzmiankę zasługuje Pakt Briand-Kellog z roku 1928, w którym potępiono wojnę i państwa zobowiązały się do nieuciekania się do wojny. Bezpieczeństwo więc formane cudowne!

Ale może ważniejszym, choć mniej znanym w świecie, był projekt polski z roku 1931 o **rozbrojeniu moralnym**, t. j. o zaniechaniu szerzenia nienawiści między narodami, począwszy już od szkół, bo inaczej wytwarzana atmosfera nienawiści musi doprowadzić do wojny, a najdrobniejsza przyczyna będzie pretekstem, będzie iskrą padającą na nagromadzone prochy.

Wspaniale więc rozbudowany system prawny po wojnie światowej nie był realny, bo raz po raz wybuchały konflikty zbrojne, a obecna wojna wszechświatowa wykazała jasno, że nie ma bezpieczeństwa powszechnego bez odpowiedniej siły, która może to bezpieczeństwo zapewnić, siły większej niż potencjał wojenny państw z natury wojowniczych.

Zresztą traktat wersalski już w swoim zanadru nosił zarodki wojny, dając uprzywilejowane stanowisko wielkim mocarstwom, a poczucie krzywdy państwom nowo utworzonym, przez narzucenie specjalnych traktatów **mniejszościowych, a ponadto wogóle przez nierównomierny podział surowców.**

Nie spełnił też pokładanych nadziei Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej, założony w r. 1920 w Hadze, gdyż państwa miały swoich stałych arbitrów, a raczej reprezentantów interesów narodowych. To też bezstronne rozstrzygnięcie było niemożliwe.

✱

Na zakończenie swego odczytu stwierdził p. Dr. Korowicz, podzielił się ze słuchaczami swymi sugestiami, które mogą przyczynić się do zabezpieczenia pokoju świata:

1. Obcość, nieznajomość wzajemna i nierówność kultury narodów jest jedną z pierwszych i głębszych przyczyn wojny. Należy więc zorganizować jak najszerszą współpracę kulturalną między wszystkimi narodami.

2. Za mało jest tworzyć nową Ligę Narodów. Przyszły organizm międzynarodowy musi być oparty na zasadach równości wszystkich państw, licząc się jednak z realizmem życiowym, jeżeli idzie o rozwiązanie problemów i zapewnienie sankcyj. Trzeba stworzyć parlament międzynarodowy.

3. Dobra wiara i realizm winny panować w stosunkach międzynarodowych, w oparciu o prawo międzynarodowe, a zasada sprawiedliwości winna panować w Stałym Trybunale międzynarodowym.

4. Granice ustalone traktatem wersalskim nie przyczyniły się do ustalenia stosunków pokojowych, to też obecny pokój winien sprawę granic rozwiązać nadzwyczaj rozumnie i sprawiedliwie.

5. Należy uwzględnić żywotne potrzeby ekonomiczne i kulturalne wszystkich narodów. Dziś już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kwestie ekonomiczne są ośrodkiem zagadnień międzynarodowych, dokoła którego obraca się całe życie narodów.

To też chcąc zapewnić pokój, trzeba rozwiązać światowe problemy gospodarcze w duchu sprawiedliwości i interesów żywotnych państw. Wprawdzie procesy ekonomiczne są w stałej ewolucji, a-e zasady powinny być trwałe, dając możność wszystkim narodom żyć i rozwijać się materialnie i kulturalnie.

6. System rządów nie jest rzeczą drugorzędną. Widzimy, że rządy absolutne, że dyktatury prowadzą do wojny, natomiast rządy demokratyczne są bardziej pacyfistyczne.

7. Narody są tworem natury — odrębności jak i sprzeczne interesy będą zawsze istniały, ale to nie wyklucza ich pokojowego załatwienia, gdy będzie rozbrojenie moralne i dobra wola państw.

8. Prawo narodów oddaje wielką usługę sprawie pokoju świata, zmierzając do ustabilizowania stosunków.

I badając historię prawa narodów, widzi się stały postęp w rozwoju instytucji pokojowych międzynarodowych i współpracy międzypaństwowej. Ale jakby naprzekór temu wojny stają się coraz bardziej powszechniejsze i straszniejsze, co jest wynikiem postępu techniki i coraz bardziej wzrastających trudności w życiu narodów.

Dziś jest tylko jedna droga do wyboru, albo walka o byt na śmierć i życia aż do zupełnej zagłady przeciwnika, na co pozwalają «zdobycze» techniki wojennej, a bo szeroka współpraca kulturalna i wymiana dóbr i usług w płaszczyźnie międzynarodowej.

I tu p. Dr. Korowicz wyraził nadzieję, że nie ulega wątpliwości, iż świat wkroczy na tę drugą drogę, gdyż rozum ludzki musi zwyciężyć.

Kar.

Życia polskiego

ŻOŁNIERSKI WIECZÓR REWIOWY W KOSZARACH BESSIÈRES W PARYŻU

Staraniem kierownika świetlicy żołnierskiej Polskiej YMCA na terenie koszar Bessières w Paryżu, przy współpracy p. mjr. Szrayera — znanego i wytrawnego dyrygenta, oraz p. por. Gierczaka — oficera opieki w koszarach Bessières zorganizowany został «Żołnierski wieczór rewiowy» w niedzielę dnia 11 marca br. w sali teatralnej przy ul. des Epinettes 38. W wieczore tym brali udział: orkiestra dęta z koszar Bessières, kwartet wokalny oficerski, artyści zawodowi p. Stazy-Nora — znana śpiewaczka scen paryskich, p. Sylia Franca — Angielka pochodzenia polskiego i p. Adelina Kornaszewska ze swym partnerem p. Theodori, oraz amatorski zespół taneczny polskich harcerzy.

Wysoki poziom i udana całość zasługują na to, aby o każdym numerze wspomnieć kilka słów.

Orkiestra dęta, złożona z 40 osób, dobrze wyszkoła choć w krótkim czasie przez znakomitego dyrygenta mjr. Szrayera, popisała się doskonale. Jeśli weźmie się pod uwagę warunki, a więc niską salę wypełnioną po brzegi publicznością, to mimo to, należy stwierdzić, że grała ona zupełnie czysto, z bardzo udaną dynamiką, wykazując również duże zgranie. Utwory były odpowiednio dobrane do całości programu. Na zwrócenie uwagi zasługują: «Wiązanka kujawiaków» i «Polonez» A-dur Chopin'a.

Wokalny kwartet oficerski w osobach: por. Wojtas B. ppor. Klonowski W., ppor. Karpowicz W., oraz kierownik kwartetu i jednocześnie wykonawca p. Jodłowski wywołał na sali bardzo miłe wrażenie. Ten sam oficer, który dowodzi żołnierzami z koszar Bessières w czasie służbowych zajęć, teraz na wieczorze żołnierskim zbliża się pieśnią polską do serc żołnierskich. Czas wolny od zajęć wypełnia pracą, dokonując codziennie próby, aby móc od czasu do czasu zaśpiewać żołnierzowi. W kwartecie nie jest łatwo śpiewać głosom nie wyszkolonym. To też długo ten kwartet pracował nad tym, aby zdobyć sobie rację bytu. Kwartet ten śpiewał 3. III. br. w Bibliotece Polskiej w czasie wieczoru art. na zebraniu Towarzystwa Franco-Polonais Groupe d'Université, gdzie zdobył sobie uznanie odnosząc wielki sukces. Tym razem kwartet śpiewa dla żołnierzy. W programie piękne utwory polskie: «Piosenka o dwóch miastach», «Naprzód drużyno strzelec-ka», «Anim ja nie juhas», «Tango marynarskie», «Wiązanka góralska», «Dumka żołnierska», «Wróćmy tam, dokąd serce dziś tęskni i marzy», «Droga, która trwa» i t. p. Wszystkie pieśni wybrane, wszystkie miłe dla ucha i melodyjne. Zarzuciłbym jedno, że kwartet był ustawiony cokolwiek za głęboko na scenie tak, że wypadł za cicho zwłaszcza dla słuchaczy w dalszych rzędach sali. W każdym razie można całkiem szczerze życzyć kwartetowi dalszej pracy, gdyż ta może dać w przyszłości bardzo piękne wyniki.

P. Sylia Franca była czarująca w swym tańcu do muzyki Chopin'a. Tak w jednym jak i w drugim numerze wykazała swą wysoką klasę. Jej ruchy subtelne, a przy-

tem opanowane pozostawiające nie tylko zadowolenie wzrokowe, ale i duchowe, gdyż tak «Preludium» Nr. 7 jak i «Walc» Chopin'a są wszystkim znane i zawsze lubiane. Szkoda tylko, że do Preludium otwarto tak późno kurtynę. Z wywiadu okazuje się, że p. Sylia tańczy w balecie angielskim w Paryżu, z ramienia ENSY angielskiej, sama po matce jest pochodzenia polskiego i wystąpiła na wieczorze żołnierzy polskich z wielką chęcią, za co została obdarzona szczerymi, pełnymi wdzięczności oklaskami i kwiatami.

Jednym z najbardziej żywych numerów był czardasz odtąńczony przez p. Adelinę Kornaszewską i p. Theodori. W pierwszej części tańczy sama p. K. do muzyki «Rapsodia II» Liszta. Akompaniuje pianista. P. K. brunetka, w stroju cyganki, wpada w nastrój, przeżywa ruchami tanecznymi każdy takt rapsodii w części adagiowej, wtem wybiega partner p. T. na scenę; muzyka, tym razem pełna orkiestra, zaczyna grać część żywą Frisca. Dyryguje sam p. mjr. Szrayer. Para zrywa się w rytmie czardasa. Iel werwy, ile życia. Żołnierze porwani werwą ruchów szaleją z zachwytem, a po zakończeniu tańca, sala wydała jeden ryk: bi-i-i-s... Tancerze uczynili zadość i tańczyli na bis jeszcze raz «Frisca». P. Kornaszewska wystąpiła jeszcze raz, tym razem w pięknym stroju szlachcianki (szkoda tylko, że do całości nie miała białych lub czerwonych butów). Odtąńczyła solo mazura do muzyki Wieniawskiego.

Gwoździem programu w części wokalne był p. Stazy-Nora, która odśpiewała: «Między nami nic nie było» Niewiadomskiego, «Awans dla panny» Hemara, «Serce tęsknione» i «Obawa» Roguskiego. Na bis «Maki» Niewiadomskiego. P. Stazy-Nora jest znaną pieśniarką scen paryskich i występ jej na tym wieczorku był naprawdę bez zarzutu. Tak głosowo jak i mimiką dała dowód pieśniarki na wysokim poziomie. Interpretacja poszczególnych pieśni, jej ruchy zupełnie nie przesadzone, a przy tym odpowiedni strój i dużo wdzięku wywołały ogólne uznanie i podziw i długo niemiłnące szczerze oklaski.

I wreszcie dopełnieniem tego tak miłego wieczoru był ostatni numer: «Krakowiak» i «Oberek» odtąńczony przez zespół amatorski harcerzy i harcerzek. Zespół amatorski, w niczym nie ustąpił jeśli chodzi o poziom wykonania artystom zawodowym. Osiem par tańczyło na tak małej scenie nasze najbardziej lubiane tańce, bo żywe, pełne werwy i brawury. Tańczyli swobodnie, z opanowaniem wszystkich figur, co świadczyło, że byli dobrze przygotowani. Należy tu podkreślić ich wielką ofiarność i poświęcenie, gdyż są to przeważnie harcerze mieszkający poza miastem Paryżem, a z chęci oświeśnienia żołnierzom wieczoru, nie wzbierali się przyjeżdżać do Paryża na próby przez dłuższy czas. To też wyniki ich pięknej pracy dało się widzieć wyraźnie, a w nagrodę sala huczała: bis. Pomimo, że stroje krakowiaków były mocno skombinowane, tak że dałkie były do naszych oryginalnych krakusów, jednak numer ten zbiorowy dzięki dobremu wykonaniu samego tańca był zupełnie udany. Bardzo dużo przyczyniła się do tego również orkiestra, która w pełnym składzie grała tak krakowiaka jak i oberka pod kierownictwem p. mjr. Szrayera.

W całości wieczór udał się i publiczność wyniosła z niego najlepsze wrażenie. Nie było dziur, nie był za długi, rozpoczął się punktualnie o zapowiedzianej godzinie i trwał pełne dwie godziny. Na zakończenie wieczoru odśpiewano wspólnie hymn narodowy.

EJ.

Prof. R. Tarczyński, prelegent Polskiej YMCA, wygłosił w dniu 2, 3 i 4 marca w Stacji Zbornej w Laval serię odczytów dla junaków tamże przebywających. Były to pogadanki o Francji, jej dziejach i kulturze — o Wielkiej Brytanii, jej ustroju i kulturze — o Polakach w Ameryce — i o wysiłku polskiej Armii Krajowej w walce o Niepodległość. Nadprogramowo mówił o swych podróżach po Stanach Zjednoczonych.

W rozmowie ze mną Prelegent podkreśla — z wrodzoną sobie skromnością — miłe przyjęcie, jakiego doznał u chłopców, którzy koniecznie chcą iść do wojska mimo młodego wieku. Karność jest tam wzorowa, niesiety warunki higieniczne pozostawiają dosyć do życzenia. Brak tam też oficera opieki. Świetlica YMCA nie jest też wzorem świetlic. Nadzwyczaj miłe jest ustosunkowanie się miejscowego społeczeństwa francuskiego do naszych chłopców, którzy poprostu rozrywani są i zapraszani do rodzin, które chcą zastąpić chłopcom brak własnych bliskich.

J.

NOWE POCZTÓWKI POLSKIE

Księgarnia Polska w Paryżu (Librairie Polonaise, 122, Bd. St. Germain, Paris V^e) wydała ostatnio dwie serie artystycznych pocztówek polskich art. mal. Barbary Bobkowskiej.

Pierwsza (święteczna) sprzedawana jest w cenie 40 frs. i zawiera 6 pocztówek, druga (motywy ludowe) w cenie 60 frs., zawiera 8 reprodukcji. Wydanie staranne. Jak wszystkie rzeczy B. Bobkowskiej — są piękne, żywe i tak bardzo polskie w kolorystyce. Powinny cieszyć się dużym wzięciem, czego im szczerze życzymy.

WARSZTATY P.C.K. W LYONIE

Polski Czerwony Krzyż w Lyonie uruchomił ostatnio przy rue Garibaldi 81 własne warsztaty szewski, krawiecki i szwalnię, gdzie dokonuje się wszelkich reparacji i robót w te zakresy wchodzących po cenach kosztów własnych, gdyż przedsiębiorstwo to nie jest obliczone na zarobek. W najbliższym czasie ma być uruchomiona pralnia. Mielśmy sposobność stwierdzić, że roboty są wykonywane tanio i solidnie.

PORADNIK TECHNICZNY

Czytelnikom wydawnictw Polskiej Y.M.C.A. z czasu okupacji nie obcy jest ten tytuł. Nowym naszym Przeciółom podajemy do wiadomości, że jak i dawniej tak i teraz w nowowprowadzonej rubryce pod powyższym tytułem dawać będziemy rady i wskazówki dla pracownika oświatowego, który chce numer «Razem» wykorzystać w swej pracy świetlicowej.

Jeżeli chodzi o praktyczne wykorzystanie numeru, to na pierwszy plan wysuwają się święta Wielkanocne. Trzeba je ładnie urządzić, z nakładem energii i sił. W Kościele katolickim są to największe święta, a ich symbolika szczególnie dziś jest nam bliska i przemawia do nas.

Można zrobić mały kominek, gdzie w programie znalazłyby się wiersze, pogadanka o obyczajach i zwyczajach wielkanocnych na wsi, kilka żwawych wiosennych

pieśni (bo Wielkanoc to święto wiosny), i część literacka. Wyobrażamy sobie, że na podstawie podanych w numerze myśli — pracownik oświatowy powie przy święconem parę słów życzeń, gdzie byłoby coś więcej, niż tylko szablon jednakowych ciągle życzeń.

Drugim ważnym punktem obecnie jest 151 rocznica Powstania Kościuszkowskiego. Trzeba podnieść przede wszystkim jego charakter społeczny i ciągłą aktualność. Trudności techniczne przy przejściu na druk nie pozwoliły nam na podanie kilku pieśni. Zresztą melodie «Bartoszu, Bartoszu» — lub «Patrz Kościuszek» znają wszyscy. Z podanych materiałów można zrobić małą akademię (ale nie sztywną: wiersz, deklamacja, śpiew, powstać, niech żyje i rozejść się) lub kominek, lub co najmniej żywy dziennik, w którym dużo miejsca znalazłoby się na omówienie wspomnianej rocznicy.

Oba artykuły z «Kolumny anglo-saskiej» i «O kulturze powszechnej i niepowszechnej», oraz «30 miesięcy z Armią Polską na Wschód» — to pierwszorzędną tematy do pogadek, zależnie od poziomu środowiska. Wiersze zawsze przypominają, że warto byłoby czasem zrobić jakiś wieczór poezji. Wprawdzie w dzisiejszych czasach nie bardzo jest miejsce na poezję, gdy tyle jest wydarzeń, huk maszyn i trosk — ale właśnie może dlatego warto byłoby spróbować. Przy poezji jak i przy piosence można odpocząć, a wszystko co proste to piękne.

Rubryka niniejsza, przeszczepiona z «Różnych» do «Razem» miała jeszcze i inny cel: gawęd z pracownikami oświatowymi, wymian poglądów i osiągnięć, porad i wzajemnej pomocy jeśli chodzi o materiały do pracy kulturalno-oświatowej. Sprawmy, by ta rubryka ożyła. Piszmy do siebie nawzajem i mówmy za pośrednictwem «Razem».

P. St. Misiaczyk z La Machine żali się, że nie ma materiałów (sztuczek, deklamacji i pieśni) na urządzenie rocznicy 3-go Maja. P. Kasia Wróblówna z Clermont-Ferrand żali się, że nigdzie nie może zdobyć polskich elementarzy i podręczników dla kursu języka polskiego, jaki z koleżankami prowadzi. P. Rossa z Audincourt prosi za naszym pośrednictwem o wypożyczenie mu kilku sztuczek teatralnych, nadających się do wystawienia w warunkach mniej i więcej prymitywnych.

«Razem» przesyła te trzy prośby swym Czytelnikom ufając, że dobrą wolą i solidarnością (a nie zachłannością na gromadzone a niewykorzystywane materiały) wyjdzie troskom i trudnościom pracowników oświatowych na spotkanie.

M.

CIEKAWOSTKI SZACHOWE

W lutym odbył się w Moskwie wszechrosyjski konkurs szachowy o mistrzostwo Rosji. Konkurs był obelany licznie przez czołowych szachistów sowieckich. Mistrzostwo zdobył Smyslin, uczeń Instytutu Lotniczego, czterokrotny mistrz Moskwy. Brak konkurencji zagranicznych uniemożliwia wszelkie porównania, jeśli chodzi o klasę i styl gry. Zaznaczyć tylko trzeba, że Smyslin nie przegrał w turnieju ani jednej partii, a od dwóch lat jest niepokonanym w konkurencji rosyjskiej.

Listy do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

W swoim felietonie społecznym p. t. «Kobie'a pracy» Pan H. J. J. w numerze 11-12 porusza wiele ciekawych problemów: rola kobiety w społeczeństwie, praca kobiety a społeczeństwo, rodzina a praca w życiu kobiety, prawa pracy dla kobiety itd., itd. Szczególnie konkluzje pana H. J. J. w końcowej części felietonu przyciągnęły moją uwagę i właśnie z powodu tych konkluzji piszę ten list.

Konkluzje te są nasępujące:

1. Powrót kobiecie do swych tradycyjnych zajęć domowych jest wstecznictwem.

2. Dlaczego kobieta ma być pedagogiem i kucharką?

3. Marnujemy wartościowe siły przeszło połowy społeczeństwa na taniec przy kuchennej blasze.

4. Dajmy kobiecie możliwość pełnego wyżycia się w pracy.

5. Wprowadźmy w orbitę działalności człowieka nowe, wielkie masy kobiece.

O tych właśnie twierdzeniach chciałbym podyskutować, o innych, które istnieją, dyskutować nie trzeba, bo są ultra-słuszne (żłóbki dziecięce, przedszkola, organizacja warunków pracy dla kobiety żameżnej i t. t.).

Kobieta tworzy dom, rodzinę... Od tysięcy lat jest główną ostoją tego, co się nazywa ogniskiem domowym. Kiedy zmęczony mężczyzna po całodiennej nowoczesnej pracy w fabryce czy urzędzie, z głową pękającą od huku maszyn, wraca do domu, to znajduje tam żonę, dzieci, spokój i kwiatki, wkłada pantofle, odpoczywa w fotelu, czyta gazetę, słucha radia, pali fajkę... Ręka miłującej go żony podaje mu posiłek, czyści ubranie i ceruje skarpety.

Kobieta wychowuje dzieci. Uczy ich pacierza, historii Polski i alfabetu (matka wychowała i Słowackiego i Piłsudskiego).

I nagle autor nazywa tę pracę marnowaniem czasu i ironizuje mówiąc, że to jest taniec przy kuchennej blasze...

Mówi, że kobiety należy przygotowywać zawodowo w szkołach, w których by je ogolono na «gołą pałę», dano kombinezon mechaniczny i postawiono przy taśmie, gdzie pracowałyby jak automaty...

Wprowadzić «w orbitę działalności człowieka wielkie masy kobiece»...

To wychowanie dzieci nie jest orbitą działalności człowieka?

Nasze matki byłyby boleśnie zaskoczone, gdyby przeczytały tamten felieton...

Pchnąć masy kobiece do fabryk! W łoskocie maszyn, przy piecach elektrycznych, w wyziewach chemicznych — pozostawić kobietę i małą?

Praca nowoczesna jest przekleństwem człowieka. I tak mi się wydawało w pewnej chwili, kiedy czytałem omawiany felieton, że autor rozumie doskonale, że hańbą naszą i naszych warunków społecznych jest sam fakt, że istnieją i muszą dziś istnieć kobiety-robo-nice — ale przy końcu artykułu zaprzecza sam sobie... widać że dobrze tego nie zrozumiał.

Choroby należy leczyć etiologicznie, a nie symptomatologicznie. Żłóbki, poradnie, podniesienie płacy dla kobiet, to nie są wcale środki lecznicze. Powiększyć płacę robotnikom żonatym, by żona nie musiała pracować, dawać premie za dzieci, stwarzać warunki dobre dla rodziny i opiekować się rodziną!! Chce Pan dziewczęta kształcić na fachowców. Ale kto do licha ma się zająć dzieckiem i domem? Kto? Mężczyźni? Nie chciałbym wysuwać fałszywych wniosków, ale czytelnikowi może się wydawać, że autor chciałby zlikwidować rodzinę. Jadać konserwy w barach-au'omatach: (by nie tańczyła kobieta przy kuchennej blasze — dzieci wysyłać do specjalnych zakładów wychowawczych... A kobiecie dawać się «wyżywać w pracy»? Nie proszę Pana! Dziewczęta należy szkolić przede wszystkim na żony i matki, bo my chcemy, żeby nasze żony umiały gotować i wychowywać dzieci, a potem dopiero ina-

czej je kształcić i to dopiero takie, które nie mogą lub nie chcą mieć dzieci. Praktyka wykazuje, że są kobiety i na uniwersytetach i w różnych dziedzinach pracy. Maria Curie-Skłodowska była wielką uczoną, w kozi róg zapędziła mężczyzn, ale miała i dzieci. Jak się chce wszystko można pogodzić.

To, że są stare panny, nie zmienia zasadniczo stanu rzeczy... jest ich mimo wszystko ciągle za mało, by tworzyły problem społeczny.

Co komu z takiej żony, która nosi spodnie, pali papierosy, pracuje poza domem cały dzień?... która nie ma zamiaru rodzić dzieci i gdyby mogła — tę uciążliwą funkcję zrzuciłaby na mężczyznę?

Nie odbierajmy, na litość Boską, kobiecie tego, czym ją Bóg obdarzył, tego, co stanowi jej piękno i jej a'ut...

Istnienie matek, które pracują w fabrykach, bo są zmuszone warunkami, jest hańbą naszych czasów! I środek leczniczy trzeba skierować w powody tej choroby społecznej.

Prosząc o zamieszczenie powyższych uwag, kreślę się z poważaniem

W. N.

Panie Redaktorze!

Z radością i smutkiem przeczytałem list p. W. N. w sprawie mego felietonu p. t. «Kobieta pracy». Ucieszyłem się, że felieton był czytany, tu i ówdzie wzbudził zapewne dyskusję i pomoże do głębszego przemyślenia tematu.

Pan W. N. wiele rzeczy z mego felietonu zrozumiał i nie zgadza się z nimi. To mu wolno i gdyby w «Razem» było dosyć miejsca, moglibyśmy rozwinąć szerszą dyskusję z pożytkiem dla nas obu. P. W. N. wmawia mi jednak rzeczy, których nie powiedziałem. Takich momentów jest w liście p. W. N. sporo, więc tylko dla przykładu jedną sprawę przytoczę.

«Co komu z takiej żony, która nosi spodnie, pali papierosy, pracuje poza domem cały dzień?... która nie ma zamiaru rodzić dzieci i gdyby mogła — tę uciążliwą funkcję zrzuciłaby na mężczyznę?» — pyta mnie p. W. N. Dziwnie to brzmi w zestawieniu z moimi wywodami: «Nie zapominajmy jednak nigdy, że pozostaną zawsze dziedziny, w których kobieta odegrać będzie mogła rolę minimalną, czy nawet żadną, nie ze względu na sztuczne ograniczenia, ale z uwagi na przyrodzone właściwości. Z drugiej strony nie będziemy mogli zapominać, że czy taką czy inną będzie praca kobiety, nie mamy prawa zamykać jej możliwości do jej najwięk-szego szczęścia — macierzyństwa.» Strasznie też boli p. W. N. moja uwaga o «kuchennej blasze», mimo, że brzmi ona dość jasno: «pozostawmy przy niej te, które robią to z talentem i zamiłowaniem. Reszcie dajmy możliwość pełnego wyżycia się w pracy i t.d.

Takich przykładów nieścisłości czy niezrozumienia można przytoczyć jeszcze sporą garść, choć list p. W. N. nie jest przecież zbyt długi. A szkoda! Z punktu widzenia ogólnego jest bardzo dobrze, że znajduję przeciwników, którzy nie wahają się o tym pisać. Tylko w dyskusji i rozpatrzeniu przeciwnych zdań możemy się porozumieć, tylko przez porównanie stanowisk możemy poznać, które z nich jest słuszne, ale... w felietonach mych nie mam zamiaru nikomu wymyślać ani nikogo besztać, nie mam zamiaru przeinaczać ani «podcieniowywać» cudzych myśli i o to też muszę prosić mych przeciwników. Jeśli dyskusja ma być pożyteczna, musi spełniać dwa warunki: lojalności i spokoju. Jeśli jednego z tych warunków brak, należy raczej od dyskusji odsąpić. I tutaj powód mego smutku, bo zagadnienie pracy kobiet było w Polsce, a po wojnie będzie w jeszcze większym stopniu, zagadnieniem wielkiej wagi, godnym szerokiej, spokojnej i rzeczowej dyskusji, której nie zamknę się najpiękniejszymi frazesami o «hańbie naszych czasów», «łoskocie maszyn» i «bolesci naszych matek».

Przy tych wszystkich zastrzeżeniach rad jestem, że zechciał Pan Redaktor umieścić w «Razem» list p. W. N., gdyż matka moja, mająca zdolności wychowawcze, wpoila mi zasadę poszanowania sądów moich przeciwników. Wpoila mi też zasadę, że wszelkie cy-

taty mają tylko wtedy sens, gdy są dokładne. Miałyby też do mnie wielki żal, gdybym zdanie: «Czemu każda kobieta ma mieć zdolności wychowawcze? Czemu urodzić się ma pedagogiem i kucharką jednocześnie?» powtórzył: «Dlaczego kobieta ma być pedagogiem i kucharką?» i na tej podstawie pytał groźnie: «To wychowanie dzieci nie jest orbitą działalności człowieka?» Ucieszyłaby się moja matka, dumna ze swego wychowania syna, gdyby wiedziała, że nie reaguję na fakt, że w odpowiedzi na moje poszukiwania córóg pogodzenia pracy kobiet i macierzyństwa, przeciwnik dawał mi taką reprimendę: «Maria Curie-Skłodowska była wielką uczoną, w kozi róg zapędziła mężczyzn, ale miała i dzieci. Jak się chce, wszystko można pogodzić.»

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, serdeczny uścisk dłoni.

H. J. J.

P. S. — Bardzo jestem ciekaw, czy p. W. N. uważa, że córki Marii Curie-Skłodowskiej są dobrze wychowane i czy wie, co one myślą na temat, będący przedmiotem naszej polemiki.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Leży przede mną pięć nowych wydawnictw przysłanych ze Szwajcarii. W oczy rzuca się oczywiście od razu ich piękna forma zewnętrzna, zupełnie nieosiągalna w warunkach francuskich.

«Varsovie» André Lenoir'a z przedmową Georges'a Rigassi'ego wydały w Genewie Editions de la Frégate. Jest to omówienie dwóch obron Warszawy z 1939 i 1944 r. przeprowadzone niezwykle szczegółowo na 16 komunikatów radiowych i artykułów w prasie światowej. Karty tej niedużej a z wielką prostotą napisanej książki mówią o bohaterstwie Warszawy i Armii Krajowej. Zamieszczone w tekście fotografie z przed wojny i po ostatnim powstaniu krzyczą swą prawdą i tragodią, która nie jest udziałem tylko Warszawy, ale całej Polski i wszystkich Polaków w świecie.

«La politique polonaise entre les deux guerres» Adama Rosego wydana przez wydawnictwa Editions de la Baconnière w Neuchâtel w serii «Evolutions du Monde et des Idées» zawiera przedmowę Maurice Bourquin i później w dwóch częściach przeprowadzoną analizę polskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej. Nazwisko autora mówi samo za siebie.

Całkowicie wyjątkową publikacją jest zbiór polskich melodii ludowych i żołnierskich p. t. «A travers les chansons de Pologne», pięknie wydany i opracowany muzycznie. Pieśni w tłumaczeniach francuskich Haliny Belmont zaopatrzone są wstępem i objaśnieniami Zygmunta Estreichera Rozbierskiego. Wydawnictwo to mające tak duże zadanie do spełnienia pomiędzy obcymi przynosi chlubę wydawcom: Towarzystwu Polskiemu «Polonia» w Genewie.

W Collections Culture Européenne w Lausanne wyszły dwa studia, otwierające serię «Pologne». Pierwsza jest pióra Francka Louis'a Schoell'a, znanego tłumacza z polskiego na francuski i pod tytułem «Patrimoine polonais» zawiera wnikliwe i bezcenne dla chcącego poznać naszą kulturę cudzoziemca studium o naszej literaturze, przywołujące jej cenniejsze wyjątki, tłumaczone już na zachodzie. Bardzo dobre i rzeczowe jest słowo wstępne: Comment on prend goût à une culture étrangère i dalej opis Ouarville («Patrimoine polonais»).

Dalszym w tej serii jest studium Ludwika Bonarskiego o Chopinie p. t. Etudes sur Chopin z przedmową Francka Louis'a Schoell'a. Jest to bodajże pierwsze w tym rodzaju studium, łączące w sobie wysoką klasę i dostępne dla szerokiego warstw czytelników; lubiących muzykę, lecz niekoniecznie w jej znajomości zaawansowanych.

**

Dnia 17 grudnia 1944 «gdzieś w Holandii» rozpoczęło swój żywot nowe pismo polskie na kontynencie: «Defilada», tygodnik 1. Dywizji Pancerniej, biorącej chlubny odwet na Niemcach w walkach na froncie zachodnim.

Dotychczas pojawiły się cztery numery tego pisma, przynoszące materiał żywy, ciekawy, aktualnie ilustrowany. Pismo informuje czytelników o najświeższych wydarzeniach politycznych, przynosi ciekawe artykuły literackie i humorystyczne. Czasami nawet może się poszczycić wynalezieniem interesujących polonistów historycznych z przeszłości Holandii. Wyróżnia się też doskonałymi tłumaczeniami prozy francuskiej i przedrukami cenniejszych utworów literatury polskiej.

Obszerny dział listów do Redakcji najlepiej dowodzi, że «Defilada» swymi początkowymi numerami zjednała sobie tak wymagającego czytelnika, jakim jest żołnierz naszej Dywizji Pancerniej.

Między nami

UWAGA! ZMIANA ADRESU:

«RAZEM» POLSKA Y.M.C.A. WE FRANCJI
47, RUE CARDINET, PARIS 17°.

Wyjaśnienie.

W związku z licznymi zastrzeżeniami i zarzutami, kierowanymi do p. H.J.J., który czasem podpisywał swe felietony społecznymi literą J. — wyjaśniamy, że autorem recenzji p. t. «Wesoła Lwowska Fala we Francji» podpisanej również literą J. jest p. Andrzej Chciuk.

Rozwiązania rozrywek umysłowych.

W wyniku losowań nadesłanych przez Czytelników trafnych rozwiązań «Rozrywek umysłowych» zamieszczonych w poprzednich numerach «Razem» — nagrody otrzymują pp.: Antoni Kurek z Montfaucon, Władysław Czernowa z Yssingeaux, Jadwinia Czarlińska z Aix-les-Bains, Andrzej Worek z Paryża, Franciszek Pieczka z Montfaucon, Barbara Bruzi z Paryża i Mielcarek Seweryna z La Machine.

odpowiedzi redakcji

Kol. W. Brodnicki, Challes-les-Eaux. — Bardzo miło było nam otrzymać rozwiązania Konkursu Krajoznawczego, niestety nie wszystkie odpowiedzi były trafne. Liczymy na Kolegę w następnych konkursach.

P. W. Drachowski, Challes-les-Eaux. — Dziękujemy. Wiersz idzie. Prosimy o więcej.

P. St. Misiaczek, La Machine. — Niestety nic nie mamy na składzie ze sztuk teatralnych. Materiały na 3-go Maja będą w «Razem».

P. Gutowska, Roche-la-Molière. — Bardzo się cieszymy, że Pani się tak «Razem» podoba i przydaje. Wysłałamy i będziemy wysyłać. Pismo jest bezpłatne.

Kóło polonistyczne, Liecim w Villard-de-Lans. — Na list odpowiadamy listownie. Sprawę książki ułatwimy; «Razem» będzie

my stale wysyłać. Prosimy o reportaż z życia Gimnazjum i sprawozdanie z konkursu recytatorskiego.

P. Morłowski, La Mure (Isere). — Dziękujemy za materiały i list. Znowu odpowiadamy listownie. Wysyłać będziemy stale pod podane adresy.

P. dr. Jakóbkiewicz, Aix-les-Bains (Savoie). — Dziękujemy za uwagi i materiały. Załatwimy żadaną sprawę w Paryżu. W sprawie reprodukcji — list.

P. Kosior, Lyon. — Materiały otrzymaliśmy. Wykorzystamy je bardzo chętnie po przepracowaniu «dziennikarskim».

Lektorat Polski, Montpellier. — Wysłaliśmy brakujące numery i stale będziemy 2 egz. wysyłać.

Kol. kol. Szafarz i Świderek, Internat Y.M.C.A. w Nimes. — Materiały b. dobre i chcielibyśmy je wykorzystać, by wykazać pracę naszego imkowego internatu, ale przychodzą za późno. Nie można sprawozdania z Gwiazdki zamieścić w marcu. Więc o ile chcecie coś zamieścić, to się śpieszcie. Pozdrowienia.

Kol. W. Seweryn, Montceau-les-Mines. — Niestety dostaliśmy za późno i nie mogliśmy dać do poprzedniego numeru. Wykorzystujemy przy najbliższej okazji, aczkolwiek traci trochę na aktualności. Prosimy o obiecane «kawałki» teatralne. Wysyłamy «Razem» pod podane adresy nauczycielstwa w okręgu Kolegi. Serdecznie pozdrawiamy.

Kol. P. A. Szlachta, Nimes. — Rozważania noworoczne są naprawdę bardzo dojrzałe i rzeczowe. Przyszły jednak za późno, gdy numer lutowy był w robocie. Nie można odłożyć też gawędy do numeru marcowego. Prosimy o stałą współpracę i o korespondencję o Waszym «Brzasku» i o życiu w Waszym Internacie Y.M.C.A.

P. T. Skłodzki, Lens. — Za miłe słowa serdecznie dziękujemy. Brakujące numery wysyłamy.

P. Willian zeff, Pakhorn (Audincourt). — Ze wzruszeniem czytaliśmy list Pani. Wycobrażamy sobie Pani radość, gdy po pięciu latach okupacji przypadkowo przyszło wreszcie do Pani polskie słowo w postaci «Razem». Czasopismo jest bezpłatne. Będziemy stale wysyłać.

Kol. J. Gulczyński, Nimes. — Materiały z gazetki internatowej

przyszły z opóźnieniem i na stary adres. Na przyszłość prosimy o szybsze wysyłki. Materiały b. dobre. Częściowo wykorzystamy. Serdeczne pozdrowienia dla całego Internatu.

Ks. K. Grabas, Cambrai. — List Księdza sprawił nam dużą radość. Przyjemnie jest przeczytać takie miłe słowa. Pismo nasze jest bezpłatne. Będziemy je stale nadsyłać. Zdajemy sobie sprawę, że ma duże niedociągnięcia, ale staramy się je eliminować i poprawiać poziom pisma. O książkach dla Księdza i Jego Kolegów w Seminarium pomyślimy. Wyrazy poważania i serdeczne pozdrowienia.

P. J. Potisil, Clermont-Ferrand. — Prosimy o wyraźne adresowanie kopert z materiałami przeznaczonymi do «Razem» na adres redakcji. Jedna przesyłka nie doszła i wpadła do redakcji innego pisma. Materiały otrzymaliśmy. Lwowski skecz jest bardzo ładny i nadaje się na rewię, czy kominki, lecz nie do druku z różnych względów. Wiersz «Tęsknota» ma bardzo ładne fragmenty, ale jest dużo słabych miejsc i kiepskich przenośni, tak samo rymy muszą być naturalne, nie sztuczne i nie naginane do użytych poprzednio słów. Niech Pan stale jednak pisze, raczej prozą niż wierszem. Może znów coś ze swych przeżyć lub wspomnień, lub jakiś bojowy wiersz. Dobrze? Niech Pan spróbuje. Pozdrowienia.

P. K. Wróbel, Clermont. — Pismo przesyłam do redakcji «Polskiego Pachołcia». Książki wysyłam.

**KOESPONDENCYJNE KURSY
HANDLOWE
OGÓLNOKSZTAŁCĄCE
BUDOWNICTWA
I ELEKTRO-RADIO-TECHNICZNE**

POLSKIEJ Y.M.C.A. WE FRANCJI ZMIENIŁY ADRES :

**COURS PAR CORRESPONDANCE
DE L'Y. M. C. A. POLONAISE
4, RUE LEVERRIER, PARIS VI.**

• HUMOR •

Zezowały baranek

Pan Antoni Nózka jest przedsiębiorcą okolicznościowym.

Przed świętami Bożego Narodzenia sprowadza do stolicy choinki, w Zaduszki handluje wiankami, w okresie Wielkiej Nocy wyrabia i sprzedaje na własnym straganie za Że'azną Bramą gipsowe baranki.

W tym roku również ustawił w cieniu pierwszej hali targowej efektowne stoisko, wypełnione po brzegi biało malowanymi barankami.

Nie wiadomo, czy zbyt się pośpieszył, czy też kryzys wszechświatowy wywołał zastój w handlu przedświątecznym, dość, że przez pierwsze dni pan Antoni nie sprzedał ani jednej sztuki.

Nic zatem dziwnego, że przedsiębiorca był w fatalnym humorze. Na taki właśnie nastrój trafiła pierwsza klientka pani Helena Kopycińska, która obejrzawszy całą kolekcję rzekła sceptycznie:

— Żeby te baranki mieli być ładne, to nie można powiedzieć.

— Dlaczego pani szanowna? Co jej brakuje? Gips w prima gatunku, lakierem obciągnięci jak się należy, rogi złote, na podstawie bukszpan i trawka, co ma być jeszcze więcej?

— Owszem nie powiem robota starowna, ale mordercy mają jakieś takie niekonieczne.

— Co pod jakim względem?

— Każdy jest inszy.

— Baranek nie kajzerka, żeby mieli być wszystkie jednakowe.

— No faktycznie, ale oni są jakieś dziwne. Ten na przykład ma zyza w lewym oku, a ten w prawym. Ten znówu podobny jest więcej na kozę, a tamten z lewej strony to czysty żyd.

— Zwracam pani uwagę, że baranek artykuł religijny i nie masz pani go prawa równiać ze starożytną narodowością. Po drugie, żeby ja pani szanownej nie powiedział, jak pani wyglądasz!

— No powiedz pan!

— Chcesz pani?

— Chce!

— No to jak stara cholera, dla której szkoda artysty-

tycznego wyrobu. Baranek u niej ma zryza. A sama cholera dziobata jak durszlak, gdzie wyjątkowo dzioba nie posiada trzy piegi siedzą i czwartem poganiają.

No już, zjeżdżaj owieczko, bo jak cię tem zyzowałem barankiem w ucho dmuchne, że piegi pogubisz!

Pani Kopycińska nie czekała na wykonanie groźby, chwyciła swój pełen prowiantów kosz i wyrzuciła nim pana Nóżkę w głowę.

Z kosza wypadła ćwiartka cieleciny i potoczyła się między baranki, szerząc w stadzie prawdziwe spustoszenie. Na ten widok serce w panu Nóżce zamarało. Energicznym ruchem oderwał nogę od swego straganu i począł się znęcać w sposób wyrafinowany nad grymasną klientką.

Oczywiście nadbiegł policjant, rozbroił poważnionych i sporządził protokół i sprawa w amerykańskim tempie znalazła się przed sądem starościńskim.

Procesy o wzajemne pobicie odbędą się po świętach.

Pan Nóżka w wymownych słowach dowodził, że jako artysta i kupiec nie mógł inaczej postąpić, słysząc obelgi miotane pod adresem reprezentowanego przez siebie artykułu.

Mimo to razem z p. Kopycińską został skazany na grzywnę po 30 złotych.

Wuj i siostrzeniec

Pan Franciszek Kwiczot rutynowany pajęczarz, który z niejednego strychu bieliznę zdejmował i niejednego wyrok za to odsiedział, czuł się dziś w sądzie ogromnie nieswojo.

Kreślił się na ławce, wzdychał, mruczał coś pod nosem, ogryzał paznokce i wogóle zachowywał się jak nowicjusz.

Zwróciło to wreszcie uwagę jego przygodnego towarzysza pana Alojzego Szponderskiego, oskarżonego o kradzież ćwiartki cieleciny.

Pan Szponderski zgorszony tym brakiem hartu ducha u męczyzny w sile wieku, odezwał się do niego:

— Co jest — panie szanowny, czego się pan tak denerwujesz? Co ma być i tak będzie. Mamra pan nie widziałeś czy jak? Sześć miesięcy mniej albo więcej, to mucha.

— Nie o odsiadkę mnie się rozchodzi tylko, rozumiesz pan, cholera mnie bierze, że przez rodzony wuj wleciałem.

— Jakto? Lignął siostrzeńca? Takiego drania cała rodzina powinna się wyrzec, a przedtem fest gnaty przemieszać, żeby z osiem tygodni w szpitalu poleżał.

— Kiedy niechęć to zrobić, pod alkoholem się znajdując.

— To znaczy detalicznie jak?

— Zwyczajnie. Rozumiesz pan, poszłem jednego razu na robotę na Pańskie ulicę. Przychodzę na górę, owszem, bielizna wisi, towar odpowiedzialny, męski, damski i dziecienny, tylko że wszystko mokre, aż się eje.

A trzeba szanownemu panu wiedzieć, że cieć tam w bramce siedział i z workiem czyli tyż z koszem wyjść — senne marzenie.

Musiałem wszystko brać na siebie pod garnitur. Jak-

żem pierwsze damskie nocne koszule włożył, myślałem, że ze skóry wyskocze. Ale trudno, nie było rady. Kłade jak idzie, tuzin koszul ze wstawkami, sześć par majtek, ręcznikami się owinałem. Podpięcie na plecy. Pod biusthalter 24 serwetki stołowe wsadziłem, na to garnitur, jeśionkie i chodu.

Zimno mnie jak w przerebłu, dreszcze mną trzęsą, ale idę na wariata.

Trochę się tylko w bramie bojałem żeby przy cieciu nie kichnąć.

Ale wszystko poszło dobrze, bo dzwonicie kuchnię jakąś bajerował i na mnie wcale nie patrzył. Wyszłem na ulicę, dochodzę do roku Wielkiej, patrzeć, a tu wuj Wężyk posuwa się w pijanym widzie.

Jak mnie zobaczył, rodzinną miłość poczuł i dawaj się ze mną witać. A tam jak raz stał głina, na rogu i zaczął się nam przyglądać.

Ja mrugam na wuja i zaznaczam po cichu, że całe pranie na sobie posiadam, a ten nie tylko mnie ściska i raz koło razu mordy fonduje.

Widzę, że krewa, bo praczka cholera źle bieliznę wyjęła i co mnie wuj ścisnie woda mnie przez rękawy i nogawki cieknie.

Rozzłościłem się w końcu i trzask wuja w ucho. Biusthalter pękł i 24 serwetki na tretuar wylecieli.

Ja ma się rozumieć prysk w Bagno ulicę, ale dwanaście damskich koszul swoje robi. Nogi mnie się popłatali, przewróciłem się i masz pan rezultat.

Tę samą historię z pewnymi skrótami moja nie opowiedział p. Kwiczot sędziemu, ale szafarz sprawiedliwości nie podzielił jego oburzenia na wuja i skazał nieszczonego siostrzeńca na rok więzienia.

(Felietony Wiecha).

ROZRYWKI

REBUS



ROZWIĄZANIA NADSYLAĆ DO 20 KWIETNIA 1945
NA ADRES REDAKCJI.